H. Sienkiewicz

PISMA

XVI

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XVI.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XVI

RODZINA POŁANIECKICH

CZĘŚĆ II.

WARSZAWA

NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUS[illegible]EGO

(DODATEK BEZPŁAT

1900

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Ноября 1899.

VIII.

Odpowiedź Maszki, którą Połaniecki odebrał we dwa dni później, brzmiała: «W dniu wczorajszym nabyłem Krzemień». — Jakkolwiek z listu Maryni można było przewidzieć, że rzeczy wezmą taki a nie inny obrót, i młody człowiek powinien był być na to przygotowany, wiadomość sprawiła na nim wrażenie uderzenia piorunu. Zdawało mu się, że stało się zarówno niespodziewane, jak niepowetowane nieszczęście, za które cała odpowiedzialność spada na niego. Pani Emilia, znając lepiej, niż ktokolwiek przywiązanie Maryni do Krzemienia, miała również przeczucie, którego nie potrafiła ukryć, że przez tę sprzedaż sprawa zbliżenia do siebie dwojga młodych ludzi utrudnia się w wysokim stopniu.

— Maszko, jeśli nie ożeni się z Marynią, — mówił Połaniecki — to zlupi starego Pławickiego w ten sposób, że swoją opinię ocali, a tamtego zostawi bez grosza. Gdybym był sprzedał tę

sumę pierwszemu lichwiarzowi, staryby się wykręcał, coś spłacał, więcej obiecywał — i ruina Krzemienia przewlokłaby się o całe lata, w ciągu których mogłoby się zdarzyć coś pomyślnego, a przynajmniej byłby czas sprzedać Krzemień w dobrych warunkach. Teraz, jeśli zostaną bez grosza, to będzie moja wina.

Ale pani Emilia patrzyła na sprawę także i z innej strony.

— Nietylko w tem złe, — mówiła — że Krzemień został sprzedany. Gdyby to kto inny przyczynił się do tego, nie pan, i to zaraz po bytności u Maryni, cała rzecz nie miałaby tego znaczenia; ale to właśnie jest najgorsze, że Marynia tak bardzo nie spodziewała się tego po panu.

Połaniecki odczuwał to również dobrze, że zaś przywykł zdawać sobie jasno sprawę z każdego położenia, rozumiał więc także, że Marynia jest dla niego tak dobrze jak stracona. Wobec tego pozostawało jedno: przyznać, iż tak jest, zapomnieć o niej i starać się o inną żonę. Ale cała dusza Połanieckiego buntowała się przeciw temu. Naprzód jego uczucie dla panny Maryni, jakkolwiek nagłe, nie umocnione ani czasem, ani bliższą znajomością, jakkolwiek oparte przeważnie na uroku niemal wyłącznie fizycznym, jaki jej postać na nim wywarła,

wzrosło w ostatnich tygodniach znacznie. Sprawił to i jej list, i budzące się w Połanieckim przekonanie, że jej wyrządził krzywdę. Brała go teraz nad nią litość, i nie mógł o niej myśleć bez wzruszenia; skutkiem tego samo uczucie powiększyło się o te dwa pierwiastki, grające nader ważną rolę w każdem męskiem sercu. Następnie ów energiczny, muskularny człowiek nie umiał nigdy poddawać się biernie zbiegowi zdarzeń. Natura jego wprost nie mogła tego znieść. Widok trudności podniecał go właśnie do czynu. Nakoniec sprzeciwiła się zaniechaniu Maryni i jego miłość własna. Myśl, że musi kiedyś sam przed sobą przyznać, że był tylko sprężyną w ręku takiego Maszki i jednym ze środków do jego celów, że mu się dał zużytkować, a przynajmniej użytkować, napełniała go wściekłością. Choćby Maszko nie otrzymał ręki Maryni, choćby skończyło się na Krzemieniu, i to już było dla Połanieckiego więcej, niż mógł wytrzymać. Teraz brała go niepowstrzymana ochota wystąpić przeciw Maszce, narzucać mu kamieni pod nogi, pokrzyżować przynajmniej dalsze jego plany i pokazać mu, że jego adwokacki spryt, w zetknięciu się z prawdziwą męską energią, nie wystarcza.

Te wszystkie i szlachetniejsze i mniej szlachetne powody popychały Połanieckiego z nie-

przepartą siłą do przedsięwzięcia czegośkolwiek, do jakiegoś działania. Tymczasem położenie było tego rodzaju, iż nie pozostawało niemal nic do roboty. W tem przeciwieństwie tkwił właśnie dramat. Siedzieć w Reichenhallu, pozwolić Maszce przeprowadzać swoje plany, rozciągać swoje sieci, starać się o rękę panny Pławickiej — nie! za nic! A więc co? I na to ostatnie pytanie nie było odpowiedzi. Po raz pierwszy w życiu Połaniecki miał takie uczucie, jakby go uwiązano na łańcuchu, i im mniej był przyzwyczajony do takiego położenia, tem znosił je trudniej. Poznał też po raz pierwszy w życiu, czem jest bezsenność i rozdrażnione nerwy. Ponieważ Litka w ostatnich dniach znów uczuła się gorzej, więc nad całem towarzystwem zawisła ciężka, jak ołów, atmosfera niepokoju, w której życie stawało się nieznośnem.

Po upływie tygodnia przyszedł znowu list Maryni... Tym razem nie było w nim wzmianki ani o Połanieckim, ani o Maszce. Marynia donosiła tylko o sprzedaży Krzemienia bez żadnej skargi, bez żadnego objaśnienia, jak się sprawa odbyła. Ale z tego właśnie można było wnosić, jak głęboko dotknęła ją ta sprzedaż.

Połaniecki wolałby był, żeby go o nią oskarżała. Rozumiał przytem dobrze, że milczenie o nim w liście dowodzi, jak dalece został wy-

kreślony z serca tej panny, podczas gdy milczenie o Maszce może dowodzić czegoś całkiem przeciwnego. Ostatecznie, jeśli jej tak chodziło o ten Krzemień, to mogła do niego wrócić, oddając dzisiejszemu właścicielowi jego swą rękę; może więc porała się właśnie z tą myślą. Stary Pławicki miał wprawdzie swoje szlacheckie uprzedzenia, i Połaniecki liczył na nie, ale, uważając go przedewszystkiem za egoistę, przypuszczał, że w danym wypadku poświęci dla własnej wygody i córkę i uprzedzenia.

Koniec końców, siedzenie w Reichenhallu z założonemi rękoma i czekanie na wiadomość, czy panu Maszce podoba się zaofiarować swą rękę pannie Pławickiej, stało się dla Połanieckiego wprost niemożebne. Litka powtarzała także od czasu do czasu prośbę do matki, by wracać do Warszawy, więc i Połaniecki postanowił wracać, tembardziej, że zbliżał się termin, w którym obaj z Bigielem mieli rozpocząć nowy interes.

Postanowienie to przyniosło mu na razie wielką ulgę. Wróci, zajrzy położeniu z blizka w oczy i może coś przedsięweźmie. Zawsze było to coś więcej, niż siedzieć w Reichenhallu. I pani Emilia i Litka przyjęły wiadomość o jego wyjeździe bez zdziwienia. Wiedziały, że przyjechał tylko na kilka tygodni, i spodziewały się rychło zoba-

czyć go w Warszawie. Pani Emilia miała także w polowie sierpnia wyjechać. Przez resztę miesiąca postanowiła zostać razem z Waskowskim w Salzburgu, potem zaś wracać do Warszawy. Tymczasem przyrzekła Połanieckiemu, że doniesie mu kilkakrotnie o zdrowiu Litki, a oprócz tego będzie pisała do Maryni, by dowiedzieć się, jakie są naprawdę jej myśli względem Maszki.

W dniu wyjazdu obie panie, wraz z Waskowskim, odprowadziły go na kolej. Gdy już był w wagonie, uczyniło mu się nieco żal odjeżdżać. Bądź co bądź, nie wiedział, jak się wszystko obróci w Warszawie, tu zaś otaczały go najżyczliwsze istoty, jakie miał w świecie. Wychylony przez okno, patrzał na smutne oczęta Litki, podniesione ku niemu, i na przyjazną twarz pani Emilii, z takiem uczuciem, jakby to była jego rodzina. I znowu uderzyła go nadzwyczajna piękność młodej wdowy, jej aż nadto delikatne rysy, anielski wyraz twarzy i jej postać zupełnie panieńska, przybrana w czarną suknię.

— Niech pan będzie zdrów — mówiła pani Emilia — i niech pan do nas napisze z Warszawy; mniej więcej za trzy tygodnie się zobaczymy.

— Za trzy tygodnie – powtórzył Połaniecki. — Napiszę z pewnością. Do widzenia, Lituś!

— Do widzenia! Niech się pan kłania Ewce i Joasi!

— Dobrze!

I wyciągnął jeszcze rękę przez okno:

— Do widzenia! Niech panie pamiętają o przyjacielu.

— Nie zapomnimy, nie zapomnimy! Chce pan, żebyśmy odmawiały nowennę na pańską intencyę? — pytała z uśmiechem pani Emilia.

— Dziękuję i za to. Dobrze! Do widzenia, profesorze!

Pociąg ruszył w tej chwili. Panie poczęły machać jeszcze parasolkami, póki coraz śpieszniejszy oddech lokomotywy nie przesłonił kłębami dymu i pary okna, przez które wyglądał Połaniecki.

— Mamo, — spytała Litka — czy naprawdę trzeba mówić nowennę za pana Stacha?

— Trzeba, Lituś. On taki dla nas dobry. Trzeba prosić Boga, żeby był szczęśliwy.

— A czy on jest nieszczęśliwy?

— Nie... To jest... widzisz, każdy ma swoje zmartwienie i on ma swoje.

— Ja wiem, ja słyszałam w Thumsee.. - odrzekła dziewczynka.

I po chwili dodała ciszej:

— Będę mówiła nowennę...

A profesor Waskowski, który przy całej swej

poczciwości nie umiał nigdy utrzymać języka, rzekł po chwili do pani Emili, gdy Litka poszła naprzód:

— To złote serce, i on kocha obie panie, jak brat. Teraz, gdy nam specyalista powiedział, że niema najmniejszej obawy, mogę wszystko powiedzieć. To Połaniecki umyślnie go sprowadził, bo się zaniepokoił o małą w Thumsee.

— On? — spytała pani Emilia. — No, widzi pan, co to za człowiek!

I łzy wdzięczności zakręciły się jej w oczach. Po chwili zaś dodała:

— Ale ja mu się odpłacę za to, bo mu dam Marynię.

Połaniecki odjeżdżał również z sercem przepełnionem życzliwością i wdzięcznością dla pani Emilii, albowiem człowiek, któremu się coś nie powiedzie, i który wskutek tego popada w zmartwienie, żywiej odczuwa przyjaźń ludzką. Siedząc więc teraz w kącie wagonu i mając świeżo w myśli obraz pani Emilii, mówił sobie:

— Ot, gdybym się był w niej zakochał! Co za spokój, co za pewność szczęścia! I cel w życiu byłby znaleziony; wiedziałbym, dla kogo pracuję, wiedziałbym, że czemś jestem, że moje istnienie ma jakiś sens. Ona mówi wprawdzie, że nie wyjdzie za mąż, ale za mnie — kto wie!

Tamta może być sobie doskonałością, ale może mieć także bardzo oschłe serce.

Tu uczuł nagle, że jednak o tej myśli spokojnie, podczas gdy na każde wspomnienie tamtej chwyta go jakiś niepokój, zarazem przykry i przyjemny. Czuł, że go coś ciągnie tylko do tamtej. Świeżo oto ściskał rękę pani Emilii, i uścisk ów nie zostawił mu żadnego wrażenia, podczas gdy dziś jeszcze pamiętał ciepło dłoni panny Maryni i doznawał pewnego rodzaju dreszczu na samo o tem wspomnienie.

I aż do Salzburga myślał już tylko o «tamtej». Tym razem myśli jego poczęły nawet przybierać kształt, jeśli nie postanowień, to pytań, jak ma względem niej postąpić i co w tym zbiegu rzeczy jest jego obowiązkiem.

— Nie da się zaprzeczyć, że ja jestem przyczyną sprzedaży Krzemienia — mówił sobie. — Krzemień nietylko miał dla niej tę wartość pieniężną, jaką dałoby się może z niego wyciągnąć, gdyby nie przyśpieszona sprzedaż, ale i tę wartość, którą przywiązywało do niego jej serce. Otóż pozbawiłem ją jednej i drugiej; krótko mówiąc: skrzywdziłem ją! Postąpiłem prawnie, ale to dla sumienia, złożonego z czegoś więcej, niż z paragrafów, nie wystarcza. Zawiniłem i przyznaję się do tego, a skoro tak, to muszę to naprawić w jakikolwiek sposób.

Ale jak?

— Na odkupienie Krzemienia od Maszki nie jestem dość bogaty. Mógłbym to może uczynić, rozwiązując spółkę z Bigielem i wycofując wszystkie moje pieniądze, to zaś jest materyalną niemożebnością. Bigiel mógłby przez to upaść, więc tego nie zrobię. Pozostaje mi zatem jedno, mianowicie: utrzymać z Pławickimi stosunki jakimkolwiek sposobem, a następnie oświadczyć się w krótkim czasie o rękę panny Pławickiej. Jeśli dostanę kosza, to przynajmniej uczynię, co do mnie należy.

Ale tu ów drugi, wewnętrzny człowiek, o którym Połaniecki wspominał, zabrał głos i począł mówić:

— Nie zasłaniaj się kwestyą sumienia. Gdyby panna Pławicka była starsza o dziesięć lat i brzydka, to mógłbyś tak samo przyczynić się do sprzedaży Krzemienia, pozbawić ją wszystkiego, czegoś pozbawił, i do głowyby ci nie przyszło oświadczać się o jej rękę. Powiedzże sobie odrazu, że panna Pławicka ciągnie cię, jak obcęgami, za pomocą swojej twarzy, oczu, ust, ramion, całej postaci — i nie oszukuj się.

Lecz Połaniecki trzymał wogóle krótko tego drugiego wewnętrznego człowieka i traktował go czasami bardzo niegrzecznie, zgodnie więc z tą metodą, powiedział mu:

— Naprzód, nie wiesz, głupcze, czy i w takim razie nie starałbym się krzywdy nagrodzić. Że zaś w tym wypadku chcę ją wynagrodzić, oświadczając się o pannę, to właśnie jest naturalne. Ludzie oświadczają się zawsze kobietom, które im się podobają, nie zaś takim, do których czują odrazę. Jeśli więc nie masz nic lepszego do powiedzenia, to milcz.

Wewnętrzny człowiek próbował jeszcze kilku nieśmiałych uwag, jak np., że pan Pławicki może kazać zrzucić pana Połanieckiego ze schodów, że mogą go w najlepszym razie przez próg nie puścić; ale pan Połaniecki jakoś się tego nie uląkł. Ludzie, myślał, nie chwytają się dziś takich środków, jeśli zaś Pławiecy mnie nie przyjmą, to tem gorzej dla nich.

Przypuszczał jednak, że jeśli mają choć trochę taktu, to go przyjmą. Zresztą wiedział, że pannę Marynię będzie widywał u pani Emilii.

Rozmyślając w ten sposób, przyjechał do Salzburga. Była godzina czasu do nadejścia pociągu z Monachium, którym miał jechać do Wiednia, więc postanowił przejść się po mieście. Tymczasem w sali restauracyjnej ujrzał nagle jasny kraciasty pidżak Bukackiego, jego monokl i jego małą głowę, nakrytą jeszcze mniejszym miękkim kapeluszem.

— Bukacki, czy jego duch! — zawołał.

— Uspokój się, Połaniecki — odpowiedział z flegmą Bukacki, witając go tak, jakby się rozstali przed godziną. — Jak się masz?

— Co ty tu robisz?

— Jem kotlet na margarynie.

— Do Reichenhallu?

— Tak. A ty do domu?

— Tak.

— Nie oświadczyłeś się pani Emilii?

— Nie.

— Więc ci przebaczam. Możesz jechać!

— Schowaj koncepta na lepszą porę. Litka jest bardzo zagrożona.

Bukacki spoważniał i, podniósłszy brwi, począł mówić:

— Aj! aj! Czy to zupełnie pewne?

Połaniecki odpowiedział mu pokrótce, jakie jest zdanie lekarzy.

Bukacki milczał przez chwilę, następnie rzekł:

— I niema tu człowiek być pesymistą! Biedne dziecko i biedna matka! W razie nieszczęścia, zupełnie sobie nie wyobrażam, jak ona je zniesie.

— Ona jest ogromnie religijna, ale strach o tem myśleć.

— Wyjdźmy trochę na miasto — rzekł Bukacki; — tu można się udusić...

I wyszli. Po drodze Bukacki począł powtarzać:

— I nie ma tu człowiek być pesymistą! Cóż jest taka Litka? Po prostu gołąb! Każdyby jej pożałował, tylko śmierć nie pożałuje.

Połaniecki milczał.

— Sam nie wiem teraz, — mówił Bukacki — czy jechać do Reichenhallu? W Warszawie, jak jest pani Emilia, to i ja mogę wytrzymać. Raz na miesiąc oświadczam się jej, raz na miesiąc dostaję odkosza, i tak sobie żyję od pierwszego do pierwszego. Teraz, pierwszy minął, więc zatęskniłem do mojej pensyi... Czy matka zdaje sobie sprawę ze stanu małej?

— Nie. Dziecko jest zagrożone, ale może być, że pozostaje mu jeszcze z parę lat.

— Ha! może nikomu z nas nie pozostaje więcej. Powiedz mi, czy ty często rozmyślasz nad śmiercią?

— Nie. Co mi to pomoże? Wiem, że tę sprawę muszę przegrać, więc sobie głowy nad nią nie łamię, zwłaszcza przed czasem.

— W tem rzecz, że musimy przegrać, a jednak procesujemy się aż do końca. Oto cały sens życia, które inaczej byłoby tylko nudną farsą, a tak jest zarazem głupim dramatem. Co do mnie, mam teraz trzy rzeczy do wyboru: albo się powiesić, albo jechać do Reichenhallu, albo

do Monachium obejrzeć raz jeszcze Boeckliny. Gdybym był logiczny, wybrałbym to pierwsze, ponieważ zaś nie jestem logiczny, więc wybiorę Reichenhall. Pani Emilia warta jest Boecklinów, i jako rysunek, i jako kolor.

— Co słychać w Warszawie? — spytał nagle Połaniecki, który to pytanie miał na ustach od początku rozmowy. — Widziałeś Maszkę?

— Widziałem. Kupił Krzemień i jest wielkim posiadaczem, a ponieważ ma rozum, więc stara się wszelkiemi siłami, by się nie wydać zbyt wielkim. Jest łaskawy, wyrozumiały, pobłażliwy, przystępny, to jest zmienił się na korzyść, nie moją wprawdzie, bo cóż mnie to może obchodzić! Ale zapewne na swoją własną.

— Nie żeni się z panną Pławicką?

— Słyszałem, że ma ochotę. Twój wspólnik, Bigiel, coś o tem wspomniał, również jak i o tem, że Krzemień został kupiony w warunkach zbyt dla Maszki korzystnych. Na miejscu dowiesz się o tem lepiej.

— Gdzie są obecnie Pławiccy?

— W Warszawie. Mieszkają w hotelu Rzymskim. Mała wcale niebrzydka. Byłem u nich, jako kuzynek, i rozmawiałem o tobie.

— Mogłeś wybrać milszy dla nich przedmiot rozmowy.

— Pławicki, który jest rad z tego, co się

stało, powiedział, że im oddałeś przysługę – zapewne, niechcący — ale oddałeś... Pytałem panny, jakim sposobem poznała cię dopiero w Krzemieniu. Odpowiedziała mi, że w czasie jej bytności w Warszawie, musiałeś być zapewne za granicą.

— Rzeczywiście, wyjeżdżałem wtedy w interesach domu do Berlina i bawiłem tam długo.

— Owóż urazy w nich dla ciebie nie spostrzegłem. Tyle się jednak nasłuchałem o miłości panny do zajęć sielskich, że przypuszczam, iż musi być trochę zła, żeś ją ich pozbawił, W każdym razie nie okazuje tego.

— Być może, że okaże dopiero mnie, a sposobności jej nie zbraknie, gdyż zaraz po powrocie będę u nich.

— W takim razie oddaj mi jedną małą przysługę: ożeń się z panną, bo z dwojga złego wolę zostać twoim kuzynem, niż tego Maszki.

— Dobrze – odpowiedział krótko Połaniecki.

IX.

Po powrocie do Warszawy, Połaniecki przedewszystkiem udał się do Bigiela, który dokładnie rozpowiedział mu, w jakich warunkach Krze-

mień został sprzedany. Warunki te były nader dla Maszki korzystne. Zobowiązał się on wypłacić po upływie roku trzydzieści pięć tysięcy rubli, które miały wpłynąć z parcelacyi Magierówki, a prócz tego płacić po trzy tysiące rubli rocznie aż do śmierci pana Pławickiego. Połanieckiemu nie wydało się to zrazu układem zbyt dla Pławickich niepomyślnym, lecz Bigiel był innego zdania.

— Ja zbyt śpiesznie ludzi nie sądzę — mówił — ale ostatecznie Pławicki jest starym egoistą, który dla własnej wygody poświęcił przyszłość dziecka, a prócz tego człowiekiem lekkomyślnym. W tym wypadku renta jest niby oparta na Krzemieniu, ale Krzemień, jako majątek zrujnowany, w który trzeba wkładać, ma wartość fikcyjną. Jeśli Maszko doprowadzi go do porządku, to dobrze, jeśli nie, to w najlepszym razie będzie zalegał z wypłatą, a przez całe lata Pławicki może grosza nie widzieć. Co wtedy zrobi? Odbierze napowrót Krzemień. Ale Maszko pozaciąga do tego czasu nowe długi, choćby dlatego, żeby spłacić stare, i — w razie jego bankructwa — Bóg wie ilu wierzycieli wyciągnie po Krzemień ręce. Ostatecznie wszystko polega na uczciwości Maszki, który może być sobie porządnym człowiekiem, ale prowadzi interesa ostro, którego zatem jeden fałszywy krok

może zrujnować. Kto wie, czy samo kupno Krzemienia nie jest takim krokiem, bo, chcąc uporządkować majątek, musi wyciągnąć swój kredyt do ostateczności. Widziałem takich, którym się długo udawało, póki nie rzucili się na kupno wielkich majątków ziemskich.

— Pławickim zostanie zawsze gotowizna za Magierówkę — rzekł Połaniecki, jakby chcąc uspokoić własne obawy o ich przyszłość.

— Jeśli stary Pławicki jej nie przeje, nie przegra, nie zmarnotrawi.

— Ja muszę coś obmyślić. Przyczyniłem się do sprzedaży, więc muszę radzić.

— Ty? — spytał ze zdumieniem Bigiel. — Myślałem, że wasze stosunki są zerwane.

— Spróbuję je zawiązać na nowo. Jutro będę u nich.

— Nie wiem, czy cię radzi zobaczą.

— I ja nie wiem.

— Chcesz, żebym poszedł z tobą? Bo chodzi o złamanie lodów. Samego mogą cię nie przyjąć... Szkoda, że mojej żony niema... Po całych wieczorach przesiaduję teraz sam i grywam na wiolonczeli, ale w dzień mam dużo czasu i mogę iść, gdzie chcesz.

Połaniecki jednak odmówił i nazajutrz, przybrawszy się z wielką starannością, poszedł sam. Wiedział, że jest przystojnym człowiekiem, a choć

zwykle niewiele o tem myślał, teraz postanowił nie zaniedbać niczego, coby mogło przemówić na jego korzyść. Idąc, miał także pełno w głowie pomysłów: co powie, co zrobi w takim a takim razie, i z góry starał się przewidzieć, jak go przyjmą.

— Będę jak najprostszym i najotwartszym — mówił sobie. — Ostatecznie, to jest najlepszy sposób.

I sam nie wiedział, kiedy znalazł się przed Rzymskim hotelem. Wówczas serce poczęło mu bić nieco żywiej.

— Byłoby nieźle jednak, — pomyślał — żebym ich nie zastał. Zostawiłbym kartę i później zobaczyłbym, czy Pławicki odda mi wizytę.

Lecz natychmiast powiedział sobie: «Nie tchórz!» — i wszedł. Dowiedziawszy się od portyera, że pan Pławicki jest w domu, posłał swoją kartę, i po chwili poproszono go na górę.

Pan Pławicki siedział przy stole i pisał listy, pociągając od czasu do czasu dym z cybucha, zakończonego wielkim bursztynem. Na widok Połanieckiego podniósł głowę i, spojrzawszy na niego przez złote binokle, rzekł:

— Proszę, proszę!

— Dowiedziałem się od Bigiela, że państwo jesteście w Warszawie, — rzekł Połaniecki — i przychodzę złożyć moje uszanowanie.

— Bardzo to pięknie z twojej strony, — odrzekł Pławicki — i co prawda, tom się tego nie spodziewał. Rozstaliśmy się w bardzo przykry sposób, i to z twojej winy. Ale ponieważ poczułeś się do obowiązku odwiedzenia mnie, więc ja, jako starszy, otwieram ci znowu ramiona.

Jednakże otworzenie ramion ograniczyło się tym razem do wyciągnięcia przez stół ręki, którą Połaniecki uścisnął, mówiąc sobie w duchu:

— Niech mnie licho porwie, jeśli ja tu do ciebie przyszedłem i jeśli względem ciebie poczuwam się do jakiegokolwiek obowiązku.

Po chwili spytał:

— Państwo przenosicie się do Warszawy?

— Tak jest. Ja stary wieśniak, przywykły do wstawania ze słońcem i do moich zajęć rolniczych... mnie ciężko będzie w waszej Warszawie. Ale nie godziło mi się więzić dziecka, wiec zrobiłem tę jedną więcej ofiarę.

Połaniecki, który spędził dwie noce w Krzemieniu, przypomniał sobie, że pan Pławicki wstawał około jedenastej, i że właściwie trudnił się interesami Krzemienia, nie jego rolą; pominął to jednak milczeniem, albowiem głowę zajętą miał w tej chwili czem innem. Oto od numeru, który zajmował pan Pławicki, otwarte drzwi prowadzily do innego, w którym musiała mieszkać panna Marynia. Połanieckiemu, który

zezował w kierunku tych drzwi od chwili wejścia, przyszło do głowy, że ona może nie chce do niego wyjść, więc spytał:

— A panny Maryi nie będę miał przyjemności zobaczyć?

— Marynia wyszła obejrzeć mieszkanie, które znalazłem dziś rano. Przyjdzie zaraz, bo to o parę kroków. Wyobraź sobie, cacko, nie mieszkanko! Ja będę miał gabinet i sypialnię, Marynia także bardzo ładny pokoik... Jadalny jest wprawdzie trochę ciemny, ale salonik, jak bombonierka...

Tu pan Pławicki przeszedł do opowiadania o mieszkaniu z obfitością słów dziecka, które coś bawi, lub starego wygodnisia, któremu uśmiecha się zmiana na lepsze. W końcu rzekł:

— Ledwom się obejrzał, jużem znalazł. Warszawka to moja stara przyjaciółka, i znam ją dobrze.

Lecz w tej chwili ktoś wszedł do przyległego pokoju.

— To pewno Marynia — rzekł Pławicki.

I począł wołać:

— Maryniu, czy to ty?

— Ja — ozwał się młody głos.

— Chodźże tu; mamy gościa.

Panna Marynia ukazała się we drzwiach. Na widok Połanieckiego zdziwienie błysnęło na jej twarzy.

Połaniecki, wstawszy, sklonił się, a gdy zbliżyła się do stolu, wyciągnął ku niej na powitanie rękę. Ona podala mu swoją zarówno chłodno, jak grzecznie. Poczem zwróciła się do ojca, jak gdyby nikogo więcej nie było w pokoju.

— Widzialam mieszkanie — rzekła. — Ładne i wygodne; nie wiem tylko, czy ulica nie zbyt hałaśliwa.

— Wszystkie ulice są hałaśliwe — zauważył pan Pławicki. — To nie wieś.

— Przepraszam, pójdę zdjąć kapelusz — odrzekła panna Marynia.

I wróciwszy do swego pokoju, nie ukazywala się przez czas dość długi.

— Nie pokaże się więcej — pomyślał Połaniecki.

Lecz ona widocznie poprawiała tylko włosy przed lustrem po zdjęciu kapelusza, poczem weszła znowu i spytała:

— Nie przeszkadzam?

— Nie, — rzekł Pławicki — nie mamy już z sobą żadnych interesów, z czego, mówiąc nawiasem, rad jestem mocno. Pan Połaniecki przyszedł tylko z grzeczności.

Połaniecki poczerwieniał nieco i, chcąc zmienić przedmiot rozmowy, rzekł:

— Wracam z Reichenhallu, przywożę pani ukłony od pani Chwastowskiej i od Litki, i to

jest także jeden z powodów, dla których ośmieliłem się przyjść.

Na chwilę, ów chłodny spokój, który był na twarzy panny Maryni, znikł.

— Pisała mi Emilka o ataku Litki — rzekła. — Jakże ona się teraz ma?

— Drugiego nie było.

— Spodziewam się też znowu listu, i może już przyszedł, ale go nie odebrałam, ponieważ Emilka adresowała prawdopodobnie do Krzemienia.

— To ci go odeślą — rzekł Pławicki. — Dałem polecenie, by wszystko, co przyjdzie, tu odsyłano.

— Państwo już nie powrócicie na wieś? — spytał Połaniecki.

— Nie, nie powrócimy — odrzekła panna Marynia, której oczy przybrały napowrót wyraz chłodnego spokoju.

Nastała chwila milczenia. Połaniecki patrzał na młodą dziewczynę i zdawał się walczyć sam z sobą. Jej twarz ciągnęła go z nieznaną mu dotąd siłą. Czuł coraz wyraźniej, że w takiej właśnie znalazłby największe upodobanie, że taką mógłby pokochać, że to jest jego typ kobiety wybranej — i tem bardziej jej chłód stawał mu się nieznośny. Dałby teraz Bóg wie co, by w tych rysach odnaleźć znów ten wyraz,

który widział w Krzemieniu, to zajęcie się jego słowami i zasłuchanie, tę zaciekawioną przezroczystość oczu pełnych uśmiechów; dałby Bóg wie co, żeby to wszystko wróciło, a nie wiedział, jaką drogą iść do tego, powolną, czy prędką, więc dlatego się wahał. Wybrał nakoniec tę, która była zgodniejsza z jego naturą.

— Wiedziałem, — rzekł nagle — jak pani kochała Krzemień, i mimo tego, być może, że przyczyniłem się do jego sprzedaży. Jeśli tak jest, to powiadam pani otwarcie, że tego najmocniej żałuję i nigdy żałować nie przestanę. Na swoją obronę nie mogę nawet powiedzieć, żem to uczynił w uniesieniu i bez namysłu. Owszem, namyśliłem się, tylko namysł był zły i bezrozumny. Tem większa moja wina, i tem bardziej proszę panią o przebaczenie.

To rzekłszy, wstał. Policzki mu zapłonęły, z oczu biła prawda i otwartość, ale słowa jego pozostały bez wrażenia. Połaniecki szedł błędną drogą. Za mało on znał kobiety wogóle, żeby mógł sobie zdać sprawę, jak dalece sądy ich, zwłaszcza o mężczyznach, bywają zależne od ich uczuć, zarówno chwilowych, jak stałych. Wszystko na mocy tych uczuć może być przyjęte za dobrą, lub złą monetę; wszystko tłómaczone na złe lub dobre, uznane za słuszne lub za fałszywe; głupota może być poczytana za

rozum, rozum za głupotę, egoizm za poświęcenie, poświęcenie za samolubstwo, grubijaństwo za otwartość, otwartość za brak delikatności. Mężczyzna, który w danej chwili budzi niechęć, nie może mieć dla kobiety słuszności, nie może być szczerym, nie może być sprawiedliwym, nie może być dobrze wychowanym. Owóż panna Marynia, czując do Połanieckiego od chwili przyjazdu Maszki do Krzemienia głęboką urazę i niechęć, wzięła mu teraz wprost za złe jego otwartość. Pierwszą jej myślą było: «Cóż to za człowiek, który uznaje za bezrozumne i złe to, co kilka dni temu zrobił z rozmysłem?....» Następnie Krzemień, jego sprzedaż, przyjazd Maszki i znaczenie tego przyjazdu, które odgadła, to była w niej jakby rana, która jątrzyła się coraz bardziej. I teraz zdawało jej się, że Połaniecki rozkrwawia tę ranę z całą bezwzględnością człowieka o szorstkiej naturze i grubych nerwach.

On wstał i, z oczyma w jej twarzy, czekał, czy się ku niemu nie wyciągnie przyjazna i przebaczająca ręka, z jasnem poczuciem, że jedno takie wyciągnięcie dłoni może stanowić o jego losie; lecz jej oczy pociemniały na chwilę, jakby z bólu i gniewu, twarz zaś stała się jeszcze zimniejsza.

— Niech pan się tem nie kłopoce — odrzekła z lodowatą grzecznością. — Papa jest owszem

bardzo rad z układu i z całego stosunku z panem Maszką.

To rzekłszy, wstała także, jakby rozumiejąc, że Połaniecki chce się pożegnać. On zatrzymał się jeszcze chwilę, zrażony, zawiedziony, pełen uczucia upokorzenia, jakiego doznaje zawsze człowiek, którego odepchnięto, wreszcie pełen urazy i tłumionego gniewu.

— Jeśli tak, — odrzekł — to i ja niczego więcej nie pragnąłem.

— Ale tak! ale tak! Zrobiłem dobry interes — zakończył pan Pławicki.

Połaniecki wyszedł — i schodząc po kilka schodów odrazu, z zaciśniętym na głowę kapeluszem, powtarzał sobie w duchu:

— Noga moja u was więcej nie postanie.

Czuł jednak, że gdy wróci do domu, to go zadławi gniew; ruszył więc przed siebie, nie myśląc o tem, dokąd go nogi poniosą. Zdawało mu się w tej chwili, że nie kocha Maryni, że ją nawet nienawidzi, ale jednak myślał o niej, i gdyby myślał spokojniej, zdałby sobie sprawę, że samo zobaczenie jej wstrząsnęło nim głęboko. Widział ją oto znowu, patrzał na nią, porównał z rzeczywistością ten jej obraz, który nosił w pamięci — i obraz, stawszy się przez to jeszcze wyraźniejszy, bardziej realnie ponętny, tem silniej działał na niego. I, mimo gniewu, w głębi

jego duszy podnosiło głowę ogromne upodobanie i zachwyt. Istniały teraz dla niego jakby dwie Marynie: jedna potulna, przyjazna, zasłuchana i gotowa kochać, Marynia z Krzemienia; druga, ta lodowata panna z Warszawy, która go odtrąciła. Kobieta często zdwaja się tak w sercu męskiem, które wówczas najczęściej gotowe jest przebaczyć tej nieprzyjaznej dla tamtej kochanej. Połaniecki nie przypuszczał nawet, żeby Marynia potrafiła być taką, jaką dziś okazała się dla niego; z tego powodu w jego gniewie było jakby pewne zdziwienie. Znając swoją istotnie niezaprzeczoną wartość i będąc dostatecznie zarozumiałym, nosił w sobie przeświadczenie, do którego nie chciałby się przyznać sam przed sobą, że dość mu wyciągnąć rękę, by za nią pochwycono. Tymczasem pokazało się inaczej. Ta potulna panna Marynia wystąpiła nagle nietylko w roli sędziego, który wydaje wyroki i potrafi potępić, ale zarazem i w roli jakby królowej, u której można być w łasce lub niełasce. Połaniecki nie mógł się z tą myślą oswoić i szamotał się z nią, ale taka jest natura ludzka, że gdy poznał, iż dla tej panny nie jest tak pożądanym, jak sądził, że ona nietylko nie ceni go zbyt wysoko, ale niżej od siebie samej, wbrew niechęci, urazie, gniewowi, cena jej wzrosła w jego oczach. Jego

miłość własna została zraniona, a z drugiej strony jego wola, istotnie silna, gotowa była porwać się do walki z trudnościami i podruzgotać je. Wszystkie te myśli krążyły teraz bezładnie w jego głowie, a raczej były to bardziej poczucia, niż myśli, poszarpane i same szarpiące. Powtarzał sobie stokroć, że wszystkiego poniecha, że musi i chce poniechać, a jednocześnie był dość słabym i małym, by w tej samej chwili, gdzieś w najtajniejszym kącie duszy, liczyć na przyjazd pani Emilii i na tę pomoc, jaką ów przyjazd mógł mu przynieść.

Pogrążony w tej duchowej rozterce, opamiętał się dopiero w połowie Zjazdu. Wówczas zadał sobie pytanie: «Po licha ja szedłem na Pragę?» — i zatrzymał się. Dzień był pogodny i schylał się ku wieczorowi. Wisła płynęła poniżej w blasku, a za nią i za bliższemi kępami zieloności widać było rozległy kraj, zakryty na widnokręgu mgłą różową i sinawą. Hen, za temi mgłami, był Krzemień, który Marynia kochała i który straciła. Połaniecki, utopiwszy oczy w mgły, powiedział sobie:

— Ciekawym, coby zrobiła, żebym jej go oddał?

Lecz nie umiał sobie tego dokładnie wyobrazić, natomiast wyobraził sobie, że utrata tego kawałka ziemi była dla niej istotnie wielką przy-

krością — i zrobiło mu się jej żal. W tym żalu poczęła się rozpływać jego uraza i przesłaniać się jakby mgłą. Sumienie jęło mu szeptać, że miał to, na co zasłużył.

Wracając mówił sobie:

— Jednakże ja o tem wszystkiem ciągle myślę.

I rzeczywiście tak było. Nigdy w najważniejszych sprawach pieniężnych nie doznawał ani pół takiego niepokoju, nigdy też nie pogrążał się w nie tak dalece. I znów przyszło mu na myśl to, co mówił Waskowski, że natura jego, jako Połanieckiego, nie zdolna jest włożyć całej duszy w robienie pieniędzy. Nigdy nie doświadczył równie jasnego poczucia, że mogą być sprawy od tego ważniejsze i po prostu bardziej pozytywne. Po raz drugi ogarnęło go pewne zdziwienie.

Była już blizko dziewiąta, gdy zaszedł do Bigiela. Bigiel, sam w obszernem, pustem mieszkaniu, siedział we drzwiach otwartych na ogrodową werendę i wygrywał na wiolonczeli, tak, że aż wszystko w domu drgało. Ujrzawszy Połanieckiego, przerwał jakieś tremolo i spytał:

— Byłeś dziś u Pławickich?

— Byłem.

— Jakże panna?

— Jak karafka «frapowanej» wody. Na taki

gorący dzień to przyjemność. Zresztą grzeczni ludzie.

— Przewidywałem to.

— Graj dalej.

Bigiel począł grać «Träumerei» i, grając, przymykał oczy, lub podnosił je na księżyc. W ciszy muzyka zdawała się napełniać słodyczą dom, ogród i samą noc.

Gdy skończył, milczał przez chwilę, poczem rzekł:

— Wiesz co? Jak pani Emilia wróci, żona moja zaprosi ją do siebie na wieś, a z nią i pannę Pławicką. Może tam te lody między wami stopnieją.

— Zagraj jeszcze raz «Träumerei».

Dźwięki ozwały się po raz drugi, spokojne i rozmarzone. I Połaniecki był zbyt młodym, by nie miał być również choć trochę marzycielem. Więc wyobraził sobie, że Marynia słucha z nim razem «Träumerei» z rękoma w jego ręku, z głową na jego piersiach, kochająca bardzo i nad wszystko w świecie kochana.

X.

Pan Pławicki był jednak człowiekiem co się nazywa dobrze wychowanym, albowiem trze-

ciego dnia oddał wizytę Połanieckiemu. Oddał ją nie drugiego, taka bowiem skwapliwość oznaczałaby chęć utrzymania blizkich stosunków, i nie czwartego, albo piątego, byłoby to bowiem dowodem braku znajomości zwyczajów światowych, tylko w terminie najwłaściwszym i jedynie wskazanym przez przykazania «savoir vivre». Pan Pławicki szczycił się całe życie znajomością tych przykazań, oraz właściwych im odcieni, i zachowywanie ich uważał za najwyższą mądrość ludzką. Jako człowiek wyrozumiały, pozwalał wprawdzie istnieć i innym gałęziom wiedzy, pod warunkiem wszelako, żeby się nie przeceniały, a zwłaszcza, by nie miały pretensyi narzucania się ludziom prawdziwie dobrze wychowanym.

Połaniecki, dla którego wszystko było pożądanem, co nawiązywało jakąkolwiek nić dalszych stosunków z panną Marynią, z trudnością potrafił ukryć radość, jaką mu sprawiło przybycie pana Pławickiego. Radość ta odbiła się też w uprzejmem i pełnem dobrego humoru przyjęciu. Musiał on zresztą podziwiać pana Pławickiego i wpływ, jaki na niego uczyniło miasto. Czupryna jego lśniła się, jak skrzydła krucze, małe wąsiki sterczały do góry, walcząc o lepsze pod względem barwy z czupryną, biała kamizelka okrywała wysmukłą pierś, ponsowy zaś

gwoździk przy czarnej żakietce dodawał jakiegoś świątecznego blasku całej postaci.

— Pod słowem, nie poznałem wujaszka w pierwszej chwili! — zawołał Połaniecki. — Myślałem, że jaki młodzik wchodzi.

— Bonjour, bonjour! — odpowiedział pan Pławicki. — Chmurny dzień, trochę tu ciemno, i chyba dlatego wziąłeś mnie za młodzika.

— Chmurno, czy jasno — co to za figura! — odpowiedział Połaniecki.

I, chwyciwszy bez ceremonii w boki pana Pławickiego, począł nim obracać i mówić:

— Talia zupełnie jak u panny. Chciałbym mieć taką!

Pan Pławicki, mocno zgorszony tak bezceremonialnem powitaniem, ale zarazem jeszcze mocniej uradowany tym podziwem, jaki wzbudzała jego postać, mówił, broniąc się:

— Voyons! Waryat jesteś. Mógłbym się pogniewać! Waryat jesteś.

— Ale wujaszek nazawraca głów, ile sam zechce.

— Co powiadasz? — spytał pan Pławicki, sadowiąc się w fotelu.

— Powiadam, że wujaszek przyjechał tu na podboje...

— Nie myślę o tem wcale. Waryat jesteś!

— A pani Jamiszowa? Albo to nie widziałem na własne oczy...

— Co?

Tu pan Pławicki przymknął jedno oko i wysunął koniec języka, ale trwało to chwilkę tylko, poczem podniósł brwi i rzekł:

— Widzisz, Jamiszowa... Dobre to na Krzemień... Między nami, nie znoszę afektacyi, bo to zawsze trąci prowincyą. Niech Jamiszowej Pan Bóg nie pamięta, ile mnie ona namęczyła swoją afektacyą. Kobieta powinna mieć odwagę zestarzeć się - wtedy stosunek kończy się przyjaźnią, inaczej zaś staje się niewolą.

— I wujaszek czuł się motylem w pętach?

— Tylko nie mów tak — odrzekł z godnością pan Pławicki — i nie wyobrażaj sobie, żeby coś między nami było. Gdyby też i było, nie usłyszałbyś ode mnie o tem ani słowa. Wierz mi, jest wielka różnica między wami a nami z poprzedniego pokolenia. My nie byliśmy może świętymi, ale umieliśmy milczeć, a to jest wielka cnota, bez której to, co się nazywa prawdziwem szlachectwem, nie istnieje.

— Z tego wnoszę, że mi się wuj nie przyzna, dokąd ode mnie pójdzie z tym czerwonym goździkiem przy wylogu.

— Owszem, owszem... Maszko dziś prosił na śniadanie mnie i kilka innych osób. Z początku

odmówiłem, nie chcąc zostawić Maryni samej... Ale nasiedziałem się dla niej tyle na wsi, że istotnie należy mi się trochę rozrywki. A ty nie jesteś proszony?

— Nie.

— To mnie dziwi. Jesteś, jak sam powiadasz, «aferzystą», ale nosisz porządne nazwisko. Maszko zresztą sam jest adwokatem... Wogóle jednak powiem ci, iż nie myślałem, żeby on potrafił się tak postawić.

— Maszko potrafi postawić się nawet na głowie...

— Bywa wszędzie, wszyscy go przyjmują... A ja miałem niegdyś do niego uprzedzenie.

— A teraz wuj nie ma uprzedzenia?

— Muszę przyznać, że ze mną postępował w całej tej sprawie z Krzemieniem, jak gentleman.

— Panna Marynia jest tego samego zdania?

— Zapewne... chociaż myślę, że jej ten Krzemień leży na sercu... Dla niej to zrobiłem, żem się go pozbył, ale młodość nie wszystko potrafi zrozumieć. Zresztą wiedziałem o tem i gotów jestem znieść każdą przykrość ze spokojem. Co do Maszki... zapewne!... Ona nie może mu nic zarzucić. Kupił Krzemień, to prawda, ale...

— Ale gotów go oddać?...

— Ty należysz do rodziny, więc, między

nami mówiąc, myślę, że tak jest.. Jego Marynia zajęła bardzo, jeszcze za naszego poprzedniego pobytu, ale to jakoś nie szło. Dziewczyna była za młoda — nie dość jej się podobał, ja sam trochę się krzywiłem, bo mnie uprzedzono co do jego rodziny. Bukacki ostrzył sobie na nim zęby — ot i skończyło się na niczem...

— Nie skończyło się, skoro się rozpoczyna na nowo.

— Bom się przekonał, że on pochodzi z bardzo dobrej rodziny, niegdyś włoskiej... Oni się niegdyś nazywali Masco — i przyszli tu z Boną, a potem osiedli na Białorusi. On, jeśliś zauważył, ma nawet trochę twarz włoską.

— Nie, on ma portugalską.

— To już wszystko jedno... Ostatecznie, pomyśl: sprzedać Krzemień, a jednak go mieć — to nie lada głowa wymyśli... Co do Maszki — tak! Sądzę, że taki jest jego zamiar, ale Marynia to dziwna dziewczyna. Przykro to mówić, ale człowiek prędzej potrafi zrozumieć obcego, niż własne dziecko. Jeśli ona sobie jednak powie: «Paris vaut la messe», jak to powiedział Talleyrand...

— A? Ja myślałem, że to powiedział Henryk IV?

— Bo ty jesteś «aferzysta», człowiek nowych czasów. Wam, młodym, historya i stare

dzieje nie w smak, wolicie robić pieniądze.... Wszystko tedy zależy od Maryni, a ja nie będę przynaglał; nie będę, bo ostatecznie, przy naszych stosunkach, może się jej jeszcze lepsza partya trafić. Trzeba będzie trochę wejść między ludzi i odszukać dawnych znajomych. Trud to tylko i umęczenie, ale co trzeba, to trzeba. Myślisz, że ja z przyjemnością idę na to śniadanie? Nie! ale muszę trochę i młodzieży przyjmować. Spodziewam się też, że nie będziesz o nas zapominał...

— Nie, nie będę...

— Wiesz, co mi o tobie powiedzieli? że ty dyablo robisz pieniądze. No! no! nie wiem w kogo się wdałeś — nie w ojca! W każdym razie, nie ja ci to będę ganił, nie, nie!... Dusiłeś mnie bez miłosierdzia, obszedłeś się ze mną, jak wilk z jagnięciem, ale jest w tobie coś, co mi się podoba, mam do ciebie jakąś słabość.

— I wzajemnie! — rzekł Połaniecki.

Rzeczywiście, pan Pławicki nie kłamał. Miał on instynktowną cześć dla majątku, i ten młody człowiek, który go robił, wzbudzał w nim pewien podziw, graniczący z sympatyą. To nie był pierwszy lepszy biedny krewniak, którzyby potrzebował pomocy, i dlatego pan Pławicki, choć na razie nie miał względem niego żadnych

wyrachowań, postanowił zachować z nim stosunki.

Pod koniec wizyty począł się jeszcze oglądać po pomieszkaniu.

— Pięknie mieszkasz! — rzekł.

Była to także prawda. Polaniecki miał tak przygotowane mieszkanie, jakby się miał żenić. Samo urządzenie go w ten sposób sprawiało mu przyjemność, albowiem dawało jakiś pozór rzeczywistości jego pragnieniom.

Pławicki też, rozejrzawszy się po salonie, za którym widać było drugi, mniejszy, urządzony nader wykwintnie, spytał:

— Czemu ty się nie żenisz?

— Zrobię to, jak będę mógł najprędzej.

Pan Pławicki uśmiechnął się domyślnie i, klepiąc po kolanie Połanieckiego, począł powtarzać:

— I wiem z kim, i wiem z kim!...

— To mi głowa! — zawołał Połaniecki: — ukrywajże tu co przed takim dyplomatą!

— Aha! co... Z wdówką? z wdówką — co?

— Kochany wujaszek!...

— Co? Niech ci Bóg błogosławi, jak ja błogosławię. A teraz ruszam, bo czas na śniadanie, a wieczorem koncert w Dolinie.

— W kompanii z Maszką?

— Nie, z Marynią — ale i Maszko będzie.

— Wybieram się i ja z Bigielem.

— A to się zobaczymy. Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze może.

— Jak powiedział Talleyrand...

— Więc do widzenia.

Połaniecki lubił czasem muzykę, ale nie wybierał się wcale na koncert, gdy mu jednak Pławicki o tem wspomniał, chwyciła go chęć zobaczenia Maryni. Po odejściu Pławickiego, namyślał się jeszcze czas jakiś, czy iść, czy nie iść, ale, możnaby rzec, dla formy, albowiem z góry wiedział, że nie wytrzyma i pójdzie. Bigiel, który przyszedł do niego na konferencyę handlową po południu, z łatwością dał się namówić, i koło czwartej znaleźli się w Dolinie. Dzień, jakkolwiek wrześniowy, był tak ciepły i pogodny, że ludzie zgromadzili się licznie i całe zgromadzenie miało pozór letni. Wszędy mnóstwo jasnych sukien, jasnych parasolek i młodych kobiet, które wyroiły się, jak kolorowe motyle, przygrzane słońcem. Między tym rojem, przeznaczonym do kochania, albo też kochanym i kochającym, zgromadzonym tu zarówno dla muzyki, jak w poszukiwaniu miłości, miała się znajdować i Marynia. Połanieckiemu przypomniały się czasy studenckie, gdy kochał się w nieznajomych i wyszukiwał ich w tłumie, myląc się co chwila z powodu podobieństwa kapeluszy, włosów, ogólnej postawy. I teraz zdarzyło mu

się wziąć z daleka za Marynię kilka osób, mniej lub więcej do niej podobnych; i teraz, jak dawniej, za każdym razem, w którym sobie mówił: «To ona!» doznawał tych dziwnych drgań kolo serca, tego niepokoju, jakiego doświadczał dawniej. Dziś jednak brała go złość, bo wydawało mu się to śmiesznem, a przytem czuł, że takie poszukiwania spotkań i widzeń, pochłaniając człowieka i skupiając jego myśl na jednej istocie, zwiększają zajęcie, jakie ona budzi, i tembardziej do niej przykuwają.

Tymczasem orkiestra poczęła grać, zanim mógł odnaleźć tę, której w tłumie upatrywał. Trzeba było siąść i słuchać, co czynił z przymusem, niecierpliwiąc się w duszy na Bigiela, który słuchał bez ruchu, z przymkniętemi oczyma. Po skończeniu numeru, dojrzał wreszcie błyszczący cylinder i czarne wąsiki pana Pławickiego, a za nimi profil Maryni. Trzeci siedział Maszko, spokojny, pelen dystynkcyi, z miną angielskiego lorda. Chwilami przemawiał do Maryni, a ona zwracała się ku niemu, potakując lekko głową.

— Pławiccy tu są — rzekł Połaniecki; — trzeba się pójść przywitać.

— Gdzie ich widzisz?

— Ot, tam, z Maszką.

— A prawda. Pójdźmy.

I poszli. Panna Marynia, która lubiła panią Bigielową, powitała Bigiela bardzo serdecznie, Połanieckiemu zaś skinęła głową nie tak zimno, by to mogło zwrócić czyjąkolwiek uwagę, lecz poczęła rozmawiać z Bigielem, wypytując o zdrowie żony i dzieci. On, w odpowiedzi, jął zapraszać i ją i ojca bardzo gorąco, żeby odwiedzili ich w przyszłą niedzielę na letniem mieszkaniu.

— Moja żona będzie szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! — powtarzał. — Może też i pani Emilia przedtem przyjedzie...

Marynia próbowała odmówić, ale pan Pławicki, który chciał się bawić, a z poprzedniego pobytu w Warszawie wiedział, że Bigielowie żyją dostatnio — przyjął. Stanęło na tem, że przyjadą na obiad, a powrócą wieczorem. Była to wycieczka łatwa, bo willa Bigielów leżała o jedną stacyę kolei.

— Tymczasem siadajcie koło nas — rzekł pan Pławicki; — właśnie obok nas jest kilka krzeseł próżnych.

Przedtem jednak Połaniecki zwrócił się do Maryni:

— Pani nie miała wiadomości od pani Chwastowskiej?

— Chciałam właśnie spytać, czy pan nie miał? — odrzekła.

— Nie, ale jutro spytam depeszą o Litkę.

I rozmowa urwała się. Bigiel usiadł koło pana Pławickiego, Połaniecki zaś na kraju. Marynia zwróciła się znów do Maszki, tak, że Połaniecki mógł widzieć tylko jej profil, i to niezupełny. Zdawało mu się, że nieco zmizerniała, a przynajmniej cera jej stała się po kilku tygodniach pobytu w mieście bledszą i delikatniejszą, przez co długie jej rzęsy wydawały się cienistsze i bardziej wyraźne. Cała jej postać była jakby bardziej wykwintną, do czego przyczyniał się staranny ubiór i równie staranne uczesanie, którego sposób był inny, niż dawniejszy. Dawniej nosiła włosy związane niżej, teraz były one upięte modniej, to jest wysoko pod kapeluszem. Połaniecki ogarniał oczyma jej wysmukłą postać, podziwiając całą duszą jej wdzięk, widny we wszystkiem, nawet w trzymaniu ręki na kolanach. Wydała mu się bardzo piękna. Odczuł znów z wielką siłą, że jeśli każdy mężczyzna nosi w sobie swój typ kobiecego uroku, który jest miarą wrażenia, jakie dana kobieta na nim sprawia — to ona jest tak blizką tego typu, że prawie z nim tożsamą. I patrząc na nią, mówił sobie w duszy:

— Ach, taką mieć żonę, taką mieć żonę!

Lecz ona zwracała się do Maszki. Może nawet zwracała się zanadto, i gdyby Połaniecki zachował całą zimną krew, mógłby pomyśleć,

że czyni to umyślnie, dlatego, by jemu czynić na złość. I prawdopodobnie tak było. Rozmowa musiała być ożywiona, gdyż przez jej twarz przelatywały od czasu do czasu lekkie kolory.

— Ależ ona go po prostu kokietuje!... — myślał, ściskając zęby, Połaniecki.

I chciał koniecznie usłyszeć, co mówią. Było to jednak trudno. Publiczność w czasie długiej pauzy zachowywała się dość gwarnie. Maryni Połaniecki, przedzielony dwiema osobami, nie mógł wcale słyszeć, natomiast po skończonym nowym numerze usłyszał urwane słowa i zdania Maszki, który miał zwyczaj mówić z przyciskiem, chcąc przez to nadać większą wagę każdemu słowu.

— Ja go lubię — mówił Maszko. — Każdy ma swoje słabości — jego słabością są pieniądze... Wdzięczny mu jestem, bo on mnie namówił... do Krzemienia... Myślę przytem, że jest pani szczerze życzliwy, bo nie szczędził... ...I wyznaję, że pobudził moją ciekawość...

Marynia odpowiedziała coś na to z wielkiem ożywieniem, poczem Połaniecki znów dosłyszał koniec odpowiedzi Maszki:

— Charakter jeszcze niewyrobiony i inteligencya może mniejsza, niż energia, ale natura raczej dobra...

Połaniecki doskonale rozumiał, że to o nim

mówią — i również dobrze zdał sobie sprawę z taktyki Maszki. Sądzić niby wyrozumiale i bezstronnie, raczej chwalić, lub przynajmniej przyznawać różne przymioty, a jednocześnie odzierać ze wszelkiego uroku, był to znany sposób młodego adwokata. Przez to wznosił się sam na stanowisko sędziego, wyjątkowe i wyższe. Połaniecki wiedział też, że Maszko mówił to nie tyle w chęci poniżenia jego, ile wywyższenia siebie, i że, prawdopodobnie, mówiłby tak samo o każdym innym młodym człowieku, w którym podejrzewałby możliwego współzawodnika.

Była to ostatecznie taktyka, którą może sam Połaniecki byłby się w danym razie posługiwał, co nie przeszkadzało, że w tej chwili poczytał ją Maszce za szczyt przewrotności i postanowił mu za nią zapłacić, byle zdarzyła się sposobność.

Pod koniec koncertu mógł jeszcze zauważyć, jak dalece Maszko wchodzi w rolę starającego się. Gdy panna Marynia, chcąc zawiązać woalkę, zdjęła rękawiczki, a te stoczyły się z jej kolan, Maszko podniósł je i zatrzymał, wraz z parasolką, przyczem zdjął z poręczy krzesła jej pelerynkę i przewiesił sobie przez ramię, by ją jej podać w chwili wyjścia z ogrodu — słowem, całkowicie był nią zajęty, jakkolwiek i w tem

zachowywał zimną krew i takt człowieka prawdziwie światowego.

Zdawał się przytem pewny siebie i szczęśliwy. Jakoż Marynia, prócz krótkiej rozmowy, poświęconej Bigielowi, przez resztę czasu, o ile nie słuchała muzyki, rozmawiała tylko z Maszką. Gdy ruszyli ku wyjściu, szła przed ojcem z nim razem, i znów Połaniecki widział uśmiechnięty jej profil, zwracający się ku Maszce. Rozmawiając, patrzyli sobie w oczy. Twarz jej była ożywiona, a jej uwaga skupiona wyłącznie na tem, co on mówił. Rzeczywiście kokietowała Maszkę. On sam widział to, nie przypuszczając zresztą, mimo swego sprytu, ani na chwilę, że mogła tak czynić tylko dla drażnienia Połanieckiego.

Przed wejściem czekał powóz, do którego Maszko podsadził ją i starego Pławickiego, sam zaś począł się żegnać. Lecz Marynia, przechyliwszy się ku niemu, rzekła:

— Jakże? Papa przecie prosił pana? Prawda, papo?

— Takeśmy się umówili — rzekł pan Pławicki.

Maszko siadł — i odjechali, zamieniwszy ukłony z Bigielem i Połanieckim. Dwaj przyjaciele szli dość długi czas w milczeniu; wreszcie Połaniecki rzekł, udając spokój w głosie:

— Ciekawym, czy oni już są narzeczeni?

— Nie przypuszczam, — rzekł Bigiel — ale do tego idzie.

— To i ja widzę.

— Myślałem, że Maszko będzie szukał majątku. Ale on jest rozkochany. To się może nawet trafić takiemu, który myśli tylko o karyerze... Maszko jest rozkochany. Przytem, wziąwszy ją, uwolni się od wyplat za Krzemień. Nie! to nawet i interes nie jest tak zły, jak się zdaje... A panna jest bardzo ładna, co prawda, to prawda!...

I znów umilkli. Połanieckiemu jednak było tak ciężko, że nie mógł wytrzymać.

— Powiem ci otwarcie, — ozwał się — to jest dla mnie po prostu męka ta myśl, że ona za niego wyjdzie... I ta bezradność! Wolę wszystko, niż taką bezradność. Jaką ja śmieszną i głupią rolę odegrałem w całej tej sprawie!

— Zapędziłeś się, a to się każdemu może trafić. To jest raczej wina tego dziwnego zbiegu okoliczności, że byłeś wierzycielem jej ojca. Ty masz zupełnie inne pojęcia o takich sprawach, niż on... jesteście ludzie z dwóch różnych planet — więc nieporozumienie było gotowe. Tyś może postawił rzecz za ostro, ale jak się zastanowię nad wszystkiem, to nie mogłeś być zbyt miękkim, nawet ze względu na pannę Pławicką.

Czyniąc zbyt wielkie ustępstwa, czyniłbyś je dla niej — nie prawda? Więc cóżby z tego wypadło? Oto, że ona pomaga ojcu w wyzyskiwaniu ciebie. Nie, tę sprawę należało skończyć.

Tu roztropny Bigiel przystanął na chwilę, zastanowił się i rzekł:

— A co do twojej roli to jest jedno wyjście: usunąć się zupełnie, zostawić rzeczy ich biegowi i powiedzieć sobie, że wszystko idzie po twojej myśli.

— Co mi pomoże, — zawołał gwałtownie Połaniecki — że sobie to powiem, kiedy nie idzie! nie idzie! Idzie przeciw myśli... A że mi jest głupio, niema i na to rady. Jakże? Naprzód sam to wszystko zrobiłem, a teraz chciałbym odrobić? Ja całe życie wiedziałem, czegom chciał, a w tym razie działałem, jakbym nie wiedział.

— To są przejścia, o których się zapomina.

— Dobrze, mój kochany, ale tymczasem upada interes do życia. Myślisz, że mnie to obchodzi dzisiaj tak, jak dawniej, czy będę zdrów, czy chory, bogaty lub goły? Czczo mi się robi na samą myśl o przyszłości. Ty jesteś ustalony i związany z życiem, ale co ja? Ot, był widok, i już go niema. Przecie to ogromnie zniechęca!

— Ostatecznie, nie jedna panna Pławicka na świecie.

— Co tu gadać! Teraz ona jedna, bo gdyby

była jaka druga, tobym o tej drugiej myślał. Co tu gadać! Cała rzecz i cała zgryzota w tem, że ona jedna. Za rok może mi dachówka na głowę zlecieć, albo może znajdę inną, ale tego, co będzie jutro — nie wiem, a że mnie dziś licho bierze, to wiem. To się wiąże we mnie i z innemi rzeczami, o których dziś nie chcę mówić. W życiu zewnętrznem trzeba mieć spokojny chleb — prawda? Otóż w życiu wewnętrznem tak samo. I to pilna sprawa, ale widzisz, ja ją odkładam do ożenienia się, bo to rozumiem, że nowe warunki wyrabiają nowy sposób myślenia, i zresztą chcę skończyć z jednem, nim zacznę drugie. A tu się wszystko tak gmatwa! — i nietylko gmatwa, ale znika! Ledwo się coś zjawi, już niknie. Tak jest i teraz. Żyje się w niepewności. Ot, wolałbym, żeby już byli narzeczonymi, bo w takim razie wszystkoby się skończyło samo przez się.

— Ja ci tylko powiem jedno — rzekł Bigiel: — jakem był dzieckiem, i zdarzyło mi się czasem wbić sobie drzazgę, to mnie daleko mniej bolało, gdym ją sobie sam wyciągnął, niż gdy mi to zrobił ktoś drugi.

— W tem masz słuszność! — rzekł Połaniecki.

Lecz po chwili dodał:

— Tylko widzisz, drzazgę można wyciągnąć,

jeśli nie za głęboko wlazła i jeśli się da uchwycić. Zresztą, co są porównania! Z wyciągniętą drzazgą nic nie tracisz, a mnie się widok na przyszłość psuje.

— To prawda, ale jeśli niema innej rady....

— Kto nie jest niedołęgą, na to właśnie ciężko mu się zgodzić.

Rozmowa ustała. Dopiero z chwilą, gdy się zaczęli żegnać, Połaniecki rzekł:

— Wiesz co? Wolę nie być u was w niedzielę.

— Może i dobrze zrobisz — odpowiedział Bigiel.

XI.

W domu czekała Połanieckiego niespodzianka, zastał bowiem depeszę od pani Chwastowskiej, zawierającą następne słowa: «Wracam jutro rano. Litka dobrze!» Powrót ten był niespodziany, a przynajmniej nadzwyczaj przyśpieszony, że zaś depesza zawierała zapewnienie co do zdrowia Litki, Połaniecki więc zrozumiał, że pani Emilia wraca tylko dlatego, by się zająć jego sprawą. I na tę myśl serce wezbrało mu wdzięcznością. «Ot, to jest poczciwa

natura! — mówił sobie — to przyjaciółka!....»
I obok wdzięczności wezbrała mu w sercu taka nadzieja, tak, jakby pani Emilia posiadała czarodziejski pierścień, lub magiczną laskę, za pomocą której mogła zmienić w jednej chwili serce panny Maryni. Połaniecki nie widział jasno, jak się to zrobi, ale wiedział, że przynajmniej ktoś, bardzo życzliwy, będzie za nim przemawiał, będzie go usprawiedliwiał, będzie podnosił jego serce i charakter, a zmniejszał uprzedzenia przeciw niemu, nagromadzone biegiem zdarzeń. Liczył, że pani Emilia będzie w tem bardzo wytrwała, i że będzie to dla niej kwestyą obowiązku. Człowiek, któremu coś dokucza, rad szuka tych, na którychby mógł złożyć za to odpowiedzialność. Tak i Połanieckiemu, zwłaszcza w chwilach wezbrania goryczy, wydawało się, że pani Emilia jest także odpowiedzialną za jego stosunek do panny Maryni, gdyby bowiem nie była pokazała owego listu, z którego widać było gotowość panny Maryni do pokochania go — to on byłby jeszcze zdołał odczepić od niej i myśl i serce. Może poniekąd i było tak, gdyż w historyi jego uczucia list ten odegrał rzeczywiście ważną rolę. On mu pokazał, jak szczęście było blizkie i prawie już realne, jak dalece ona w myśli oddawała mu już serce i duszę. Najtrudniej jest porzucić szczęście, które

nietylko jest upragnione, ale i zaczęte — i gdyby nie ów list, może istotnie Połaniecki mniejby żałował przeszłości, łatwiej zapomniał i łatwiej się zgodził z położeniem. Teraz nie pamiętał, że to on sam wymógł na pani Chwastowskiej pokazanie owego listu, uważał tylko, mimo całej przyjaźni i wdzięczności dla niej, że ona powinna go wspomagać ze wszystkich sił. Zresztą rozumiał, że tak się będzie działo samo przez się; spodziewał się często widywać pannę Marynię, i to w warunkach dla siebie najkorzystniejszych, albowiem w domu, w którym go kochano, ceniono i w którym podobne uczucia musiały się udzielać każdemu z gości. Wszystko to wzmogło nadzieję Połanieckiego z nową siłą, ale wzmagając nadzieję, dodało nowe ogniwa do tych, które łączyły jego myśli z Marynią. Poprzednio był sobie obiecał, że nie będzie u Bigielów, teraz zmienił postanowienie, przypuszczając, że jeśli tylko zdrowie pozwoli, pani Emilia także weźmie udział w tej wycieczce. A swoją drogą, poza tymi wszystkimi powodami, związanymi z panną Marynią, rad był z całej duszy, że zobaczy te kochane twarze, tak pani Emilii, jak i Litki, która dotychczas była największem jego przywiązaniem w życiu.

Tegoż jeszcze wieczoru napisał parę słów do Pławickiego o przyjeździe, przypuszczając, że

mu panna Marynia będzie wdzięczna za tę pośrednią wiadomość; dał znać do mieszkania pani Emilii, by nazajutrz czekano z herbatą, i zamówił wygodny powóz, by odwieźć nim te panie do domu. Nazajutrz o piątej był już na kolei.

W oczekiwaniu na pociąg, począł biegać szybkim krokiem wzdłuż peronu, by się nieco rozgrzać, albowiem ranek był chłodny. Dal, budynki kolejowe i wagony, stojące na bliższych liniach, tonęły w mgle, która, bardzo gęsta przy ziemi, w górze czyniła się różowa i świecąca, zwiastując, że dzień będzie pogodny. Na peronie, prócz urzędników i służby, nie było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, nikogo; zwolna jednak ludzie poczynali napływać. Nagle przed Połanieckim wysunęły się z mgły dwie postacie, z których w jednej poznał z biciem serca Marynię, która z panną służącą pośpieszyła powitać panią Emilię. Nie spodziewając się takiego spotkania, w pierwszej chwili zmieszał się mocno. Ona również zatrzymała się, jakby zdziwiona lub zakłopotana. Po chwili jednak zbliżył się i wyciągnął ku niej rękę.

— Dzień dobry pani! — rzekł — i prawdziwie będzie dla nas obojga dobry, jeśli nasze podróżniczki przyjadą.

— Więc to jeszcze niepewne? — spytała Marynia.

— Jakto? chybaby zaszlo coś niespodziewanego. Miałem wczoraj depeszę i posłałem wiadomość panu Pławickiemu, w tej myśli, że pani ucieszy się z nowiny.

— Dziękuję. Taka miła niespodzianka!...

— Najlepszy dowód, że pani tak rano wstała.

— Jeszczem się nie odzwyczaiła.

— I oboje przyszliśmy za wcześnie. Pociąg nadejdzie dopiero za pół godziny. Tymczasem radzę pani nie stać, ale chodzić, bo ranek chłodny, choć dzień zapowiada się śliczny.

— Mgła opada — rzekła Marynia, podnosząc ku górze swoje niebieskie oczy, które Połanieckiemu wydały się w porannem świetle fioletowe.

— Zechce pani przejść się po peronie?

— Dziękuję panu. Wolę zaczekać w sali.

I skinąwszy głową, odeszła. Połaniecki począł znów latać śpiesznymi krokami po peronie. Było mu nieco przykro, że nie chciała z nim zostać, ale tłómaczył sobie, że to może nie wypadało, a jeszcze większą pociechą napełniała go myśl, jak dalece przyjazd pani Emilii będzie sam przez się ich zbliżał i ile sprowadzi spotkań. Dziwna jakaś otucha i dobry humor wzrastały w nim z każdą chwilą. Myślał o fioletowych oczach Maryni, o jej twarzy, zaróżowionej

porannym chłodem, i przelatując koło okien sali, w której ona siedziała, mówił sobie prawie wesoło:

— Aha! siedź tam, chowaj się! Znajdę ja cię!

I czuł z większą siłą, niż kiedykolwiek, jak bardzo mogłaby mu być drogą, gdyby chciała być choć trochę dobrą.

Tymczasem zadzwoniono, i po kilku minutach, we mgle, która jeszcze przy ziemi trzymała się gęsto, choć niebo nad nią było już błękitne, ukazały się mętne zarysy pociągu, który, w miarę zbliżania się, czynił się coraz wyraźniejszy. Lokomotywa, oddychając przerywanymi kłębami dymu, wtoczyła się coraz wolniejszym ruchem na stacyę i, stanąwszy, poczęła z szumem i sykiem wyrzucać niepotrzebną już resztę pary pod przednie koła.

Połaniecki skoczył do sleepingu — pierwsza bowiem twarz, jaka mignęła mu w szybie, była twarz Litki, która na jego widok rozjaśniła się, jakby na nią padł promień słońca. Rączki dziewczynki poczęły też poruszać się radośnie, kiwając na Połanieckiego, który w jednej chwili był w wagonie.

— Moje kociątko najmilsze! — zawołał, chwytając dłonie Litki — a wyspane? a zdrowe?

— A zdrowam! I wróciliśmy! I będziemy razem — i dzień dobry, panie Stachu!

Tuż za nią stała pani Emilia, której «pan Stach» ucałował rękę bardzo serdecznie i począł mówić tak prędko, jak się zwykle mówi w chwilach powitania:

— Dzień dobry drogiej pani. Mam powóz. Mogą panie zaraz jechać; mój służący odbierze rzeczy, proszę tylko o kwit. W domu czekają z herbatą. Proszę o kwit. Panna Pławicka jest tu także.

Panna Pławicka czekała istotnie przed wagonem, i obie z panią Emilią poczęły ściskać sobie ręce z twarzami pełnemi uśmiechów. Litka patrzyła przez chwilę na pannę Marynię, jakby wahając się, potem jednak i ona rzuciła się jej na szyję ze zwykłą dawniejszą serdecznością.

— Maryniu, pojedziesz z nami na herbatę — mówiła pani Emilia. — Nas czekają, a ty musisz być naczczo. Dobrze? prawda?

— Jesteście pewno zmęczone, jechałyście całą noc.

— I spałyśmy od granicy, jak zabite, a zbudziwszy się, miałyśmy czas ubrać się i umyć. W każdym razie musimy wypić herbatę, więc nam nic nie przeszkodzisz.

— Zatem dobrze. Z największą radością.

Lecz Litka poczęła ciągnąć za suknię matki.

— Mamusiu, a pan Stach?

— Ale naturalnie, że i pan Stach także. On

myślał o wszystkiem, dzięki jemu znajdziemy wszystko przygotowane, więc musi z nami jechać.

— Musi! musi! — zawołała Litka, zwracając się ku niemu.

A on począł się przekomarzać:

— Otóż nie musi, ale chce.

I po chwili wszyscy czworo siedzieli w powozie. Połaniecki był w wybornym humorze, mając naprzeciw Marynię, a przy sobie małą Litkę. Zdawało mu się, że jasność poranku wchodzi w niego i że zaczynają się dla niego lepsze dni. Czuł, że odtąd będzie należał do małego kółka istot, związanych z sobą życiem towarzyskiem i przyjaźnią, w tem zaś kółku będzie i Marynia. Oto już teraz siedziała naprzeciw niego, blizka jego oczu i blizka przyjaźnią, jaką oboje czuli dla pani Emilii i Litki.

Tymczasem wszyscy czworo rozmawiali wesoło.

— Co się stało, Emilko, — pytała Marynia — żeś przyjechała wcześniej?

— Litka tak codzień prosiła, żeby wracać!

— Nie lubisz zagranicy? — pytał Połaniecki.

— Nie.

— Tęskniłaś za Warszawą?

— Tak.

— A za mną? co? Mów zaraz, bo będzie źle!

Litka spojrzała na matkę, na Marynię, na Połanieckiego i wreszcie odrzekła:

— I za panem Stachem także.

— Masz za to! — rzekł Połaniecki.

I, porwawszy jej rączkę, usiłował ją pocałować, a ona broniła się, jak mogła.

Wreszcie pochowała rączki, on zaś, zwróciwszy się do Maryni i okazując swoje zdrowe, białe zęby, rzekł:

— Bo widzi pani, my ciągle wojujemy, ale się lubimy.

— Tak zwykle bywa — odrzekła panna Marynia.

A on popatrzył jej w oczy szczerze i prosto:

— Ej, żeby to tak zwykle bywało!

Panna Marynia zarumieniła się zlekka i spoważniała, lecz nie odrzekła nic i poczęła rozmawiać z panią Emilią.

Połaniecki zaś zwrócił się do Litki:

— A gdzie profesor Waskowski? Pojechał do Włoch?

— Nie. Został w Częstochowie i pojutrze wraca.

— Zdrów?

— Zdrów.

Tu dziewczynka popatrzyła na swego przyjaciela i rzekła:

— Ale pan Stach schudł, mamo, prawda?

— Istotnie pan zmizerniał — rzekła pani Emilia.

Połaniecki był nieco zmieniony, bo źle spał, a przyczyna jego bezsenności siedziała przed nim w powozie. Lecz począł się tłómaczyć kłopotami i pracą w biurze. Tymczasem zajechali przed mieszkanie pani Emilii.

Przez chwilę, gdy pani Emilia poszła witać się ze służącemi, a Litka wybiegła za nią, Połaniecki i panna Marynia zostali sami w salce jadalnej.

— Pani tu chyba niema bliższej znajomości, niż pani Emilia? — spytał Połaniecki.

— Ani bliższej, ani tak kochanej.

— W życiu potrzeba jest dobroci, a ona jest bardzo dobra i życzliwa. Ja, naprzykład, który nie mam rodziny, uważam ten dom za rodzinny. Inaczej mi wygląda Warszawa, gdy te panie tu są...

Poczem, mniej już pewnym głosem, dodał:

— Tym razem cieszę się także z ich przyjazdu dla pani i dlatego, że wreszcie będzie między nami coś wspólnego i zgodnego.

Tu począł patrzeć na nią z prośbą w oczach, jakby jej chciał powiedzieć: «Ja tak nie mogę żyć! Podaj mi rękę na zgodę, bądź dobrą i dla mnie, skoro nam się zdarzył dzień tak miły».

Lecz ona, właśnie dlatego, że nie mogła być

dla niego zupełnie obojętną, szła coraz bardziej w kierunku niechęci. Im okazywał większą dobroć serca, im bardziej był sympatyczny, tem jego postępowanie z nią wydawało jej się bardziej niesłychanem, i tem bardziej uraza zwiększała się w jej sercu.

Mając naturę delikatną, a przytem raczej lękliwą, i odczuwając rzeczywiście, że odpowiedź zbyt niechętna popsułaby harmonię dnia, wolała milczeć; lecz on nie potrzebował odprawy w słowach, albowiem w oczach jej wyczytał, co następuje:

— Im mniej będziesz się starał naprawić nasze stosunki, tem one będą lepsze, a będą najlepsze wówczas, gdy będą jak najdalsze.

I radość jego zgasła w jednej chwili, zastąpił ją tylko gniew i żal, jeszcze od gniewu silniejszy, bo płynący jednocześnie z tego niezwalczonego niczem uroku, któremu Połaniecki poddawał się coraz silniej, i z przeświadczenia, że istotnie rozdział między nim a Marynią staje się codzień głębszy.

I ot, patrząc teraz na jej słodką i dobrą twarz, czuł, że staje ona mu się równie drogą, jak niepowrotnie straconą.

Przybycie Litki położyło koniec tej chwili, ciężkiej dla niego nad wyraz. Dziewczynka wbiegła z wielką radością, z czupryną w nie-

ładzie, ze śmiechem na ustach, lecz, spostrzegłszy ich, stanęła nagle i poczęła spoglądać to na jedno, to na drugie, swemi ciemnemi oczyma — i wreszcie siadła cicho przy stoliku z herbatą. Wesołość jej znikła także, chociaż Połaniecki, zamknąwszy ból w sercu, starał się być w czasie śniadania rozmowny i wesoły.

Prawie jednak nie zwracał się już do Maryni. Zajmował się wyłącznie panią Emilią i Litką — i dziwna rzecz: Marynia odczuła to jednak jak przykrość. Do szeregu uraz przybyła jedna więcej.

Nazajutrz pani Emilia z Litką były wieczorem na herbacie u Pławickich. Pan Pławicki zaprosił i Połanieckiego, który nie przyszedł. I taka jest natura ludzka, że to znów dotknęło Marynię. Niechęć, tak jak miłość, potrzebuje mieć blizko osobę, przeciw której się zwraca. Marynia mimowoli spoglądała cały wieczór ku drzwiom, gdy zaś nadeszła godzina, w której stało się już pewnem, że Połaniecki nie przyjdzie, poczęła kokietować Maszkę tak, że przejęła zdziwieniem panią Emilię.

XII.

Maszko był człowiekiem bardzo sprytnym, ale zarazem pełnym miłości własnej; nie miał zresztą żadnego powodu nie brać wprost za dobrą monetę uprzejmości, jaką okazywała mu Marynia. Niejednakowy jej stopień przypisywał trochę kokieteryi, trochę zmiennemu usposobieniu panny, i jakkolwiek to ostatnie przejmowało go pewnym niepokojem, nie było jednak dość silne, by powstrzymać go od stanowczego kroku.

Bigiel odgadywał istotny stan rzeczy, twierdząc, że Maszko był zakochany. Tak istotnie było. Przedtem już panna Pławicka podobała mu się w wysokim stopniu; następnie, uczyniwszy rachunek wszystkich *za* i wszystkich *przeciw*, doszedł do przekonania, że kategorya *za* przeważa. Młody adwokat cenił wprawdzie majątek, ale, obdarzony przytem wielką trzeźwością umysłu i znając doskonale stosunki, w których się obracał, doszedł do przekonania, że panny bardzo majętnej nie znajdzie i nie dostanie. Zupełnie majętne panny znajdowały się albo między arystokracyą rodową, i to były dla niego progi zbyt wysokie, albo wśród świata finansów, który ze swej strony szukał znowu związków z rodzinami, noszącemi mniej więcej znane nazwiska. Maszko wiedział doskonale, że

jego malowani biskupi i pancernicy, z których podrwiwał Bukacki, nie potrafią mu otworzyć ogniotrwałych kas bankierskich. Rozumiał, że gdyby nawet byli mniej fantastyczni, sam jego zawód adwokacki stanowiłby pewną «deminutionem capitis» w oczach grubych ryb finansowych. Z drugiej strony czuł naprawdę pewien rasowy wstręt do tego rodzaju związków, podczas gdy dobrze wylegitymowane dziewczyny miały dla niego ten niepospolity urok, jaki miewają zwykle dla parweniuszów.

Panna Pławicka nie miała posagu — a przynajmniej bardzo nieznaczny — prawda. Biorąc ją jednakże, uwalniał się tem samem Maszko od wszelkich zobowiązań, jakie zaciągnął względem Pławickich, kupując Krzemień. Powtóre, połączywszy się z dobrą szlachecką rodziną, postarałby się zagarnąć całą klientelę szlachecką — i to mogłaby już być korzyść bardzo realna; a nakoniec, przez rodzinne stosunki Maryni, mógłby z czasem objąć interesa kilku, lub kilkunastu rodzin prawdziwie zamożnych — co było oddawna celem jego zabiegów.

Pławiccy, jak wszystkie nieco więcej niż średnie rodziny wiejskie, mieli wprawdzie takich krewnych, do których nie bardzo się przyznawali, ale mieli też i takich, którzy do nich nie bardzo się przyznawali, co zresztą działo się

nie tyle z powodów dumy, ale samo przez się, na podstawie pewnego doboru towarzyskiego, z mocy którego każdy poszukuje w życiu ludzi, znajdujących się mniej więcej w takich samych warunkach życia. Większe jednak uroczystości rodzinne związują chwilowo takie rozluźnione stosunki, i Maszce nietylko przyjemnie było myśleć o tem, że na ślubie miałby zupełnie donośnie brzmiące nazwiska, ale widział w tem w przyszłości różne możliwe korzyści. Byłoby bowiem tylko rzeczą zręczności poddać tego rodzaju ludziom myśl, że będzie z ich strony ładnie, a dla nich samych dobrze i bezpiecznie, gdy swoje interesa powierzą człowiekowi, znanemu z energii, a zarazem więcej niż jednemu ze swoich, bo powinowatemu. Byłby to niejako posag, jaki mogliby dać niebogatej kuzynce. Maszko, obliczając się z siłami, ufał, że potrafi im się narzucić, a z czasem i opanować ich. Wiedział, że ten i ów przyjdzie z początku o radę, taką, jakiej można zaczerpnąć w pogawędce ze znajomym, lub z dalekim krewnym, który wypadkowo zna się na rzeczy; później, o ile rady okażą się dobre, będzie przychodził częściej, a w końcu odda mu wszystko w ręce. W ten sposób, pomagając innym, mógł sam wypłynąć na szerokie wody, oczyścić z czasem Krzemień, dojść do znacznego majątku, po-

rzucić wreszcie adwokaturę, której nie lubił i którą uważał tylko za środek dojścia do celu, i ustalić się wreszcie w wysokich sferach towarzyskich, jako człowiek niezależny, a zarazem przedstawiciel większej i opartej na silnej podstawie własności ziemskiej.

To wszystko przewidział, wyrachował i obliczył, zanim postanowił starać się o rękę panny Pławickiej.

Nie przewidział jednak jednej rzeczy: oto, że się zakocha w takim stopniu, jak się zakochał.

Poniekąd gniewało go to, sądził bowiem, iż uczucie zbyt silne jest czemś przeciwnem tej równowadze, jaką człowiek z wysokiego towarzystwa powinien umieć zawsze zachować. Ta równowaga była jednem z jego złudzeń. Gdyby do tego świata nie potrzebował się wdzierać, ale gdyby się był w nim urodził, byłby sobie pozwolił kochać się, na ile serca wystarczy. Mimo całego swego sprytu, nie zrozumiał, że jednym z największych przywilejów tego świata, który uważa się za uprzywilejowany, jest swoboda. Z tego powodu nie był zupełnie kontent, gdy serce nadto mu topniało w obecności panny Maryni. Ale z drugiej strony, sam cel, do którego dążył, coraz bardziej utożsamiał się w nim z osobistem szczęściem, graniczącem niemal z upojeniem.

Były to dla niego rzeczy nowe, tak nowe, że jasność tych nieznanych widnokręgów oślepiła go. Maszko doszedł do trzydziestu kilku lat życia, nie znając, co jest zachwyt. Teraz zrozumiał, ile uroków i szczęścia mieści się w tem słowie, zachwycał się bowiem panną Marynią z całej duszy. Gdy zdarzało się, że pan Pławicki przyjmował go w swoim pokoju, a ona była w sąsiednim, Maszko tak dalece był myślami przy niej, iż z trudnością pojmował, co pan Pławicki mówi. Gdy wchodziła, powstawały mu w sercu zupełnie nieznane przedtem uczucia, tkliwe i miękkie, które czyniły go lepszym, niż był zwykle. Niebieskie jego oczy zmieniały wówczas swój zwykły stalowy i zimny blask na wyraz słodyczy i upojenia, wypieki na twarzy, którymi przypominał profesora Waskowskiego, stawały się jeszcze silniejsze, cała postać traciła pozory sztywności, i rozczesywał palcami swoje ciemne baki, nie jak angielski lord, ale jak zwykły zakochany śmiertelnik. Podniósł się w końcu do tego stopnia, że chciał nietylko swego dobra, ale i jej dobra, nie pojmując go oczywiście inaczej, jak przez siebie i w sobie.

Był tak zakochany, że odtrącony, mógł się stać niebezpiecznym, zwłaszcza ze względu na brak wyrobienia moralnego, przy wielkiej rzeczywiście energii i bezwzględności. Do tej pory

nie kochał tak nigdy, i pierwsza Marynia rozbudziła w nim wszystko to, co było zdolne do kochania. Nie była ona świetną pięknością, ale posiadała w najwyższym stopniu wdzięk kobiecy, i ta jej kobiecość była powodem, że pociągała ku sobie szczególniej natury energiczne. W jej delikatnych kształtach było coś z pnącej się rośliny; twarz miała spokojną, oczy przezroczyste i trochę zmysłowe usta — wszystko to razem na pierwszy rzut oka nie czyniło wielkiego wrażenia, ale po chwili każdy najobojętniejszy nawet człowiek spostrzegał, że jest w niej coś szczególnego, co nakazuje pamiętać, że ma się przed sobą kobietę, która mogłaby być kochana.

Zresztą, o ile Maszko czuł się i był rzeczywiście lepszym w tym okresie swego życia, niż zwykle, o tyle poziom duchowy Maryni obniżył się od czasu zamieszkania Pławickich w Warszawie. Sprzedaż Krzemienia odjęła jej pracę i moralną podstawę życia. Zbrakło jej podnioślejszego celu. Przytem przebieg zdarzeń nagromadził w niej dużo goryczy i niechęci, które zawsze zmieniają się w skazy na sercu. Panna Marynia sama odczuwała to wyraźnie i w kilka dni po owym wieczorze, na który Połaniecki nie przyszedł, pierwsza zaczęła o tem mówić z panią Emilią, gdy szarą godziną zostały sam

na sam w saloniku, przytykającym do pokoju Litki.

— Ja to widzę, — mówiła — że my nie jesteśmy z sobą tak szczerze, jak dawniej. Chciałam z tobą mówić otwarcie i nie mogłam się zebrać, bo mi się zdawało, że nie jestem już warta twojej przyjaźni.

A pani Emilia zbliżyła swoją słodką twarz do głowy panny Maryni i poczęła całować jej skroń.

— Oj, ty Maryniu, Maryniu! co też ty mówisz, ty, taka zawsze rozsądna i spokojna?

— Bo w Krzemieniu byłam więcej warta, niż teraz. Ty nie uwierzysz, jaka ja byłam do tego kąta przywiązana. Miałam wszystkie dni zajęte i w sobie jakąś dziwną nadzieję, że z czasem przyjdzie coś bardzo szczęśliwego. Dziś to wszystko przeszło, i sama siebie nie mogę odnaleźć w tej Warszawie, a co gorzej, i mojej dawnej uczciwości. Widziałam, jakeś się dziwiła, żem kokietowała pana Maszkę. Nie mów mi, żeś tego nie spostrzegła. A myślisz, że ja sama wiem, dlaczego to robiłam? Chyba dlatego, że jestem gorsza, chyba z jakiejś złości na siebie, na niego i na cały świat. Nie kocham go, nie pójdę za niego; więc postępuję nieuczciwie i ze wstydem się do tego przyznaję, ale przychodzą chwile, w których chciałabym ko-

muś wyrządzić umyślną krzywdę. Tyś powinna zerwać ze mną dawną przyjaźń, bo ja naprawdę jestem inną, niż byłam.

Tu po twarzy panny Maryni poczęły się toczyć łzy, skutkiem czego pani Emilia tem bardziej, jęła ją pieścić i uspokajać; wreszcie rzekła:

— Pan Maszko stara się o ciebie najwidoczniej, i przyznaję, iż myślałam, że masz zamiar go przyjąć. Powiem ci teraz szczerze, że mnie to zmartwiło, bo to nie jest człowiek dla ciebie, ale, wiedząc, jak kochałaś Krzemień, przypuszczałam, że chcesz do niego w taki sposób wrócić...

— Z początku, prawda! miałam takie myśli... Chciałam w siebie wmówić, że mi się pan Maszko podoba; nie chciałam go odpychać... Chodziło mi także o co innego, ale chodziło i o Krzemień. Jednak nie mogłam się przekonać. Za taką cenę nie chcę nawet Krzemienia, ale w tem właśnie leży zło. Bo w takim razie, czemu ja wprowadzam w błąd pana Maszkę, czemu go łudzę? Przez prostą nieuczciwość...

— Niedobrze, że go łudzisz, ale zdaje mi się, że rozumiem, skąd to wypływa. Z niechęci i urazy dla kogoś innego — czy nie tak? Pociesz się jednak tem, że zło nie jest jeszcze niepowetowane, bo przecie postępowanie swoje z panem Maszką możesz zmienić zaraz od jutra...

I trzeba, Maryniu, zmienić, póki czas, póki nic nie było przyrzeczone.

— Ja wiem, Emilko, ja to rozumiem; tylko widzisz, kiedy jestem przy tobie i czuję, jak dawniej, jak prawa i uczciwa dziewczyna, to rozumiem, że nietylko słowo, ale i postępowanie obowiązuje. I on może mi to powiedzieć...

— To mu odpowiesz, że chciałaś się do niego przekonać i nie mogłaś. W każdym razie jest to jedyna droga...

Nastała chwila milczenia, ale i Marynia i pani Emilia czuły, że nie rozpoczęły jeszcze rozmawiać o tem, o co, jeśli nie obu, to przynajmniej pani Emilii, najmocniej chodziło. Jakoż, wziąwszy ręce Maryni, rzekła:

— Teraz przyznaj się, Maryniu, że kokietowałaś Maszkę także i z urazy dla pana Stanisława?

Ta zaś odrzekła głucho:

— Tak jest.

— A czy to nie znaczy, że owo wrażenie pierwszego jego przyjazdu do Krzemienia i pierwszych waszych rozmów jeszcze się nie zatarło?

— Lepiejby było, żeby się zatarło.

Pani Emilia poczęła gładzić jej ciemne włosy.

— Ty nie uwierzysz, jaki to dobry, dzielny i szlachetny człowiek. Dla nas ma on trochę przyjaźni; zawsze lubił Litkę, za co mu jestem

z całej duszy wdzięczna. Ale ty wiesz, jakie to bywa nie gorące i nawet nie ciepłe, ale letnie uczucie ta przyjaźń. On jednak i pod tym względem stanowi wyjątek. Czy uwierzysz, że kiedy Litka zachorowała w Reichenhallu, on sprowadził z Monachium sławnego lekarza, a nam, nie chcąc mnie przestraszać, powiedział, że doktor przyjechał do innego chorego, że więc trzeba tylko korzystać z okazyi. Pomyśl, co to za troskliwość i dobroć. To jest człowiek bardzo pewny, na którym można się oprzeć, i energiczny, i prawy. Bywają ludzie inteligentni, ale bez energii; inni mają energię, ale bez delikatności serca. On łączy jedno i drugie. Zapomniałam ci powiedzieć, że gdy majątek Litki był zachwiany, i gdy brat mojego męża wziął się do ratowania go, największą pomoc znalazł w panu Połanieckim. Gdyby Litka była dorosłą, nikomu w świecie nie oddałabym jej z taką ufnością, jak jemu. I nie potrafię ci nawet wyliczyć, ile myśmy doznały od niego dobrego.

— Jeśli tyle, ile ja złego, to bardzo dużo.

— Maryniu, on tego nie chciał. Gdybyś wiedziała, jak on cierpi nad swoją nierozwagą i jak szczerze przyznaje się do winy względem ciebie!

— Sam mi to powiedział — odrzekła Marynia. — Ja, moja Emilko, dużo myślałam nad

tem; prawdę powiedziawszy, nie myślałam o niczem innem i nie sądzę, żeby on względem mnie zawinił. W Krzemieniu był dla mnie dobry, tak dobry, że mi się zdawało... Tobie jednej to powiem, bom ci to już zresztą pisała, że wieczorem tej niedzieli, którą on spędził u nas, poszłam spać z głową i sercem tak nim przepełnionem, że aż mi wstyd dziś o tem mówić... I czułam, że jeden dzień dłużej, jedno przyjazne słowo więcej z jego strony, a pokocham go na całe życie... Zdawało mi się, że i on... Na drugi dzień wyjechał zagniewany... Była wina ojca, była i moja, więc potrafiłam to zrozumieć, i pamiętasz, jaki list napisałam do ciebie do Reichenhallu? Widzisz, zupełnie taką samą ufność, jaką ty w nim masz, miałam i ja... Pojechał. Sama nie wiem, dlaczego myślałam, że wróci lub napisze. Nie wrócił i nie napisał. Coś mi mówiło, że on mi Krzemienia nie odbierze — odebrał... I potem... Ja wiem, że pan Maszko mówił z nim otwarcie, a on go zachęcał i zaręczył mu, że sam o niczem nie myśli... Oj, moja Emilko!... Jeśli chcesz, to on nie zawinił, ale ile złego mi wyrządził! Przez niego straciłam nietylko kochany kąt, w którym pracowałam, ale i coś więcej: bo wiarę w życie, w ludzi... w to, żeby rzeczy lepsze i szlachetniejsze były w świecie górą nad złemi i płaskiemi... I sama stałam się gorsza.

Ja ci szczerze mówię, że nie mogę się odnaleźć. Miał prawo tak postąpić, jak postąpił? — dobrze. Sama to mówię i winy nie uznaję. Tylko, widzisz, połamał we mnie jakąś sprężynę życiową. I na to niema rady, to się nie da naprawić. Bo jak? Co mi z tego, że w nim zaszła potem zmiana, że żałuje tego, co uczynił, i że gotów byłby się nawet ze mną ożenić? Co mi z tego, skoro ja, która go już prawie kochałam, teraz nietylko nie kocham, ale muszę bronić się od wstrętu. To gorzej, niż gdyby mi był obojętny... Ja wiem, o co tobie idzie, ale przecie można budować tylko na miłości, nie na niechęci. Jak ja mu mogę podać rękę z tą urazą w duszy i z tym żalem, że przez niego — winien, czy nie winien — tyle się popsuło? Myślisz, że ja nie widzę jego zalet, ale cóż na to poradzę, kiedy im więcej widzę, tem bardziej właśnie mnie od niego odtrąca, i gdybym musiała wybierać, wybrałabym pana Maszkę, choć on mniej wart. Na wszystko, co mi możesz powiedzieć o nim dobrego, zgadzam się, ale na wszystko odpowiadam ci: nie kocham go i nigdy nie pokocham...

Teraz oczy pani Emilii zaszły łzami.

— Biedny pan Stach! — rzekła, jakby sama do siebie.

A po chwili milczenia spytała:

— I nic ci go nie żal?

— Żal mi go, gdy myślę o takim, jakim był w Krzemieniu, żal mi go także, gdy go nie widzę, ale z chwilą, gdy go zobaczę, mam dla niego tylko... niechęć.

— Bo nie wiesz, jaki on już był w Reichenhallu nieszczęśliwy, a teraz jeszcze jest nieszczęśliwszy. On nie ma nikogo na świecie...

— Ma twoją przyjaźń i ma to, że kocha Litkę...

— Moja Maryniu, to jest co innego! Ja z całej duszy mu jestem wdzięczna za to przywiązanie do Litki, ale to zupełnie co innego, i sama to rozumiesz, że on cię kocha inaczej i sto razy mocniej, niż Litkę...

W pokoju było już zupełnie ciemno, ale po chwili służący wniósł lampę i, postawiwszy ją na stole, wyszedł. Przy jej blasku pani Emilia spostrzegła nagle jakiś białawy kształt, skulony na kozetce przy drzwiach, prowadzących do dziecinnego pokoju.

— Kto tam jest? czy to Litka?

— Ja, mamusiu.

W głosie jej było coś niezwykłego. Pani Emilia wstała i podeszła śpiesznie ku niej.

— Kiedy tu weszłaś? Co tobie jest?

— Tak mi jakoś smutno i niedobrze.

Pani Emilia siadła na kozetce i, przygar-

nąwszy do siebie dziewczynkę, spostrzegła w jej oczach łzy.

— Lituś, ty płaczesz? Co tobie jest?

— Tak smutno, tak smutno!

I, przytuliwszy głowę do ramienia matki, poczęła płakać. Było jej istotnie smutno, dowiedziała się bowiem, że «pan Stach» jeszcze jest nieszczęśliwszy, niż w Reichenhallu, i że Marynię sto razy więcej kocha, niż ją.

Tegoż wieczoru, idąc spać, wspięła się, już tylko w koszulce, do ucha matki i poczęła szeptać:

— Bo, mamusiu, ja mam jeden bardzo wielki grzech na sumieniu...

— Moje biedactwo, cóż ci tam dokucza?

A ona szepnęła jeszcze ciszej:

— Bo ja nie kocham panny Maryni...

XIII.

Pani Emilia z Litką i Marynią, a z niemi pan Pławicki, jechali na obiad do Bigielów, do letniego ich domu, położonego w lesie, o półtrzeciej godziny drogi od miasta. Dzień był wrześniowy, pogodny, pełen błyszczących pajęczyn w powietrzu i na rżyskach. Na drzewach trzy-

mała się jeszcze zieleń dość świeża, gdzieniegdzie jednak, wśród liściastych zagajeń, widać było jakby fontanny lub bukiety żółte i czerwone. Pannie Maryni owa blada i złotawa jesień przypominała zajęcia wiejskie, zapach zbóż w sąsiekach, pola w brogach i przejrzyste przestrzenie łąk, zakończone aż hen gdzieś na widnokręgu wstążkami olszyn. Zrobiło jej się tęskno po tem życiu i po tym spokoju, wobec których miasto, mimo pracy, która kipi w jego codziennym bycie, ale której panna Marynia nie umiała odczuć, wydało jej się czczem i próżniaczem. Czuła teraz, że to życie, w którem odnajdowała swoją wartość i swoją zasługę, jest dla niej bezpowrotnie stracone — a natomiast nie zarysowało się przed nią nic, coby jej zdołało je zastąpić i wynagrodzić. Mogła wprawdzie poniekąd wrócić do niego, zostawszy panią Maszkową, ale na samą tę myśl serce zalało się jej goryczą, i Maszko, wraz ze swą warszawską pewnością siebie, wraz ze swymi wypiekami i faworytami, wraz ze swem małpowaniem angielskiego lorda, wydał się jej wprost wstrętny. Nigdy też nie czuła większej niechęci do Połanieckiego, który jej odjął Krzemień, a podsunął na to miejsce Maszkę. Tym brzydziła się w tej chwili, tamtego, zdawało jej się, że nienawidzi. Widziała przed sobą życie z ojcem, na

warszawskim bruku, bez celu, bez pracy, bez ideału — z żalem za przeszłością i do przeszłości, a z pustką w przyszłości. Z tej przyczyny, ów pogodny, jesienny dzień, zamiast ją uspokoić, przejął jej duszę smutkiem i goryczą. Droga wogóle nie odbywała się wesoło. Litka siedziała nachmurzona, ponieważ «pana Stacha» nie było w powozie. Pani Emilia zaś całą uwagę zwracała na nią w obawie, czy jej posępny humorek nie stoi w związku ze zdrowiem. Tylko pan Pławicki był w prawdziwie dobrym humorze, zwłaszcza w początku drogi. Naprzód, w swoim zapiętym surducie z czerwonym gwoździkiem w dziurce, w jasnym paletocie i z nastawionymi jak igły wąsikami, czuł się pięknym, a że reumatyzmy, które czasem odczuwał, nie dokuczały mu z powodu pogody, więc i rzeźkim; powtóre, naprzeciw niego siedziała jedna z najprzystojniejszych kobiet w Warszawie, o której przypuszczał, że nie pozostanie obojętna na tyle powabów, o tyle przynajmniej, że potrafi je zauważyć i ocenić. Niechby przynajmniej powiedziała sobie: «Ach, jaki to uroczy musiał być mężczyzna!» — byłby się pan Pławicki w najgorszym razie zadowolił choćby takiem, obowiązującem wstecz uznaniem. W tej nadziei był istotnie czarujący, bo naprzemian to wzniosły i ojcowski, to figlarny; wychodząc zaś ze sta-

nowiska, że dzisiejsza młodzież nie umie być grzeczna dla kobiet, w grzecznościach, jakie prawił pani Emilii, zawadzał aż o mitologię, co było nawet pod pewnym względem usprawiedliwione, patrzył bowiem na nią, jak satyr.

Lecz wszystko to było przyjmowane z bladym uśmiechem i ze zbyt małą uwagą, więc w końcu zraził się i począł mówić o czem innem, mianowicie, że dzięki stosunkom córki, pozna «burżuazyę», z czego zresztą jest poniekąd rad, bo dotychczas widywał tego rodzaju towarzystwo tylko na scenie, a przecie w życiu trzeba się stykać z najrozmaitszego rodzaju ludźmi, albowiem od wszystkich można się czegoś nauczyć. Dodał wreszcie, że jest obowiązkiem pewnych sfer nie odpychać od siebie ludzi, lecz przeciwnie, przygarniać ich, by tym sposobem wdrażać w nich zdrowe zasady, więc i on, który starał się zawsze spełniać obowiązki społeczne, nie cofnie się przed tą misyą. Tu szlachetny wyraz jego twarzy przybrał pewien rodzaj melancholii, i w ten sposób zajechali przed willę Bigielów.

Stała ona w szczerym lesie sosnowym, w sąsiedztwie innych, wśród starych sosen, które miejscami wycięto, miejscami pozostawiono w grupach po kilka lub kilkanaście. Zdawały się one nieco dziwić, co robi między niemi, wśród dawnej

leśnej zaciszy, dom tak świeży, ale osłaniały go jednak gościnnie przed wiatrem, w dni zaś pogodne otaczały go balsamicznem powietrzem, przesiąkniętem wonią igliwia i żywicy.

Bigielowie, wraz z czeredą dzieci, wyszli na spotkanie gości. Pani Bigielowa, która Marynię bardzo lubiła, witała ją z wielką serdecznością, pragnąc prócz tego ująć ją tem dla Połanieckiego, rozumowała bowiem sobie w ten sposób, że im lepiej panna Marynia pozna, jak mogłoby być jej między nimi dobrze, tem mniej będzie robiła trudności. Pan Pławicki, który za poprzednią bytnością z Marynią w Warszawie, poznawszy Bigielów u pani Emilii, poprzestał był tylko na złożeniu im kart wizytowych, okazał się teraz tak łaskawym księciem, jakim tylko mógł okazać się człowiek najbardziej wykwintny, a przytem spełniający misyę przygarniania «burżuazyi». Panią Bigielową pocałował w rękę, Bigielowi zaś rzekł ze wspaniałomyślną dobrocią:

— W dzisiejszych czasach każdemu jest przyjemnie znaleźć się pod dachem człowieka, jak pan, a mnie tem bardziej, skoro mój kuzyn, Połaniecki, wszedł na drogę handlową i jest pańskim wspólnikiem.

— Połaniecki to tęgi człowiek — odpowie-

dział z prostotą Bigiel, ściskając urękawicznioną dłoń pana Pławickiego.

Panie weszły na chwilę do pokojów zdjąć kapelusze, poczem, ponieważ ciepło było zupełnie, wróciły na werendę.

— A pana Połanieckiego niema jeszcze? — spytała pani Emilia.

— Pan Stanisław jest tu od rana, — odpowiedziała Bigielowa — ale teraz poszedł odwiedzić panią Krasławską. To tuż obok, — dodała, zwracając się do Maryni — niema nawet pół wiorsty... Tu wszędzie pełno letnich mieszkań, a te panie to nasze najbliższe sąsiedztwo.

— Pamiętam pannę Terkę Krasławską z karnawału — odrzekła Marynia. — Była zawsze bardzo blada.

— O, ona dotychczas bardzo anemiczna. Przeszłą zimę spędzała w Pau.

Tymczasem małe Bigielęta, które kochały na zabój Litkę, wyciągnęły ją przed dom na zabawę. Dziewczynki pokazywały jej swoje ogródki, pozakładane na piasku między sosnami, na których po prawdzie nic nie chciało rosnąć. Oględziny te były przerywane co chwila ze strony dziewczynek wspinaniem się na palce i całowaniem policzków Litki, która, pochylając swą płową, śliczną główkę, oddawała je z wielką tkliwością.

Ale chłopcy chcieli mieć także swój udział. Naprzód spustoszyli do szczętu gieorginie, rosnące pod domem, wybierając dla Litki najpiękniejsze okazy, poczem pokłócili się o to, w co się Litka lubi bawić, i poszli na sprawę do pani Emilii. Edzio, który miał zwyczaj mówić bardzo głośno, a przytem zamykać oczy, począł krzyczeć:

— Proszę pani, ja mówię, że ona najlepiej lubi serso, tylko nie wiemy, czy pani pozwoli na serso.

— Byle nie biegała, bo to jej szkodzi.

— Nie, proszę pani. Będziemy tak rzucali, żeby wszystkie kółka prosto szły do niej, to wtedy nic nie będzie biegała. A jeśli Józio nie umie, to niech rzuca do kogo innego.

— Ja chcę do niej! — odpowiedział żałośnie Józio.

I na samą myśl, że go pragną pozbawić tej przyjemności, usta jego przybrały kształt podkówki i poczęły drgać, jednakże Litka zapobiegła wybuchowi żalu, mówiąc:

— I ja będę do ciebie rzucała, Józiu, będę bardzo często do ciebie rzucała.

A wilgotne już oczy Józia poczęły się zaraz uśmiechać.

— Nie zrobią jej oni krzywdy — mówił Bigiel do pani Emilii. — Dziwna rzecz: chłopczyska

urwisy, co się zowie, a z nią ogromnie uważni! Ale to Połaniecki wychował ich w takim kulcie dla niej.

— Takie kochane dzieci, jak mało na świecie! — odrzekła pani Emilia.

Dzieci zaś zbiły się przez chwilę w kupkę, dla rozebrania między siebie kółek i paleczek. W środku tej kupki stala najstarsza wiekiem i najwyższa Litka, a jakkolwiek Bigielęta należały do dzieci raczej przystojnych, ona ze swą slodką i poetyczną twarzyczką, o rysach prawie nadto delikatnych, wyglądala, wśród tych czerstwych pucolowatych twarzyczek, jak istota z innej planety. Pierwsza pani Bigielowa zwróciła na to uwagę.

— Patrzcie — rzekła: — czy to nie istna królewna? Szczerze mówię, że jej się napatrzyć nigdy nie mogę.

— Takie to jakieś szlachetne — dodał Bigiel.

A pani Emilia patrzyła na swoją jedynaczkę wzrokiem, w którym było morze miłości. Dzieci rozbiegły się teraz i ustawily w wielkie koło, tworząc na szarem tle igliwia różnobarwne plamki, przyczem pod ogromnemi sosnami wydawały się tak małe, jak kolorowe grzybki.

Panna Marynia zeszła z werendy i stanęła przy Litce, żeby jej pomagać w łapaniu kółek,

pod które trzeba było podbiegać, by w ten sposób ochraniać ją od zmęczenia.

W tej chwili na szerokiej drodze leśnej, prowadzącej do willi, ukazał się Połaniecki. Dzieci nie dostrzegły go odrazu, lecz on ogarnął wzrokiem werendę, podwórze i, ujrzawszy jasną suknię Maryni pod sosną, przyśpieszył kroku. Litka, która wiedziała, że mama niepokoi się każdym jej żywszym ruchem, a nie chcąc niepokoić mamy za nic w świecie, stała z kolankami przy sobie, prawie nie poruszając się z miejsca i chwytając na pałeczkę tylko te kółka, które spadały wprost na nią, panna Marynia zaś biegała za wszystkiemi dalszemi. Z powodu tej bieganiny włosy jej rozluźniały się co chwila, tak, że musiała je poprawić, i w chwili, gdy Połaniecki wchodził w bramę, stała pochylona nieco w tył, z podniesionemi ku głowie ramionami.

On nie spuszczał z niej oczu i ją jedną tylko widział: wydawała mu się na tym obszernym dziedzińcu młodsza i mniejsza, niż zwykle, a przytem tak dziewicza, tak niesłychanie ponętna, tak stworzona do tego, by ją otoczyć ramionami i przycisnąć do piersi, jako kobietę i jako najdroższe w świecie stworzenie, że nigdy dotąd nie odczuł z równą siłą, jak dalece już ją kocha.

Dzieci na jego widok porzucały kółka, pa-

łeczki i z krzykiem ruszyły na spotkanie. Zabawa przerwała się. Litka w pierwszej chwili skoczyła również ku niemu, ale nagle wstrzymała się i poczęła spoglądać swemi wielkiemi oczyma, to na Połanieckiego, to na Marynię.

— A ty nie lecisz powitać pana Połanieckiego? — spytała panna Marynia.

— Nie...

— Czemu Lituś?

— Bo...

I policzki jej przeczerwieniały nieco, choć biedne dziecko nie umiało, czy nie śmiało wypowiedzieć swej myśli, którą mogłoby wyrazić w słowach:

— Bo on już nie mnie najwięcej kocha, tylko ciebie i na ciebie tylko patrzy.

On zaś zbliżał się, opędzając się od dzieci i powtarzając im:

— Nie czepiajcie się, smyki, bo poprzewracam!

I wyciągnął rękę ku Maryni, patrząc jej w oczy z prośbą o przyjazny uśmiech, o powitanie choćby odrobinę mniej obojętne, niż zwykle — poczem dopiero zwrócił się do Litki:

— A kociątko najmilsze zdrowe?

Ona zaś, zapomniawszy na jego widok i pod wpływem jego głosu o całem strapieniu swego

małego serduszka, podała mu obie rączki, mówiąc:

— A tak! a zdrowe, a wczoraj pan Stach nie przyszedł do nas, i było smutno, a teraz zaprowadzę pana Stacha do mamy na sprawę.

I po chwili wszyscy znaleźli się na werendzie.

— Jak się mają panie Krasławskie? — spytała pani Emilia.

— Zdrowe i wybierają się tu po obiedzie — odpowiedział Połaniecki.

Przed samym obiadem przyjechał profesor Waskowski i przywiózł z sobą Bukackiego, który w wigilię tego dnia przyjechał był do Warszawy. Jego zażyłe stosunki z Bigielami pozwalały mu przybyć do nich bez zaproszenia, a obecność u nich pani Emilii była dla niego zbyt silną pokusą, aby się miał jej oprzeć. Zresztą witał się z nią bez śladu sentymentu, w sposób żartobliwy, jak zwykle, ona zaś rada go widziała, bo ją bawił oryginalnym i dziwacznym sposobem wyrażania myśli.

— Miał pan jechać do Monachium i do Włoch? — spytała go, gdy siedli do obiadu.

— Tak, pani — odpowiedział; — ale zapomniałem w Warszawie nożyka do rozcinania kartek w drodze i wróciłem po niego.

— O! to ważny powód.

— Zawsze mnie to niecierpliwiło, że ludzie wszystko robią z ważnych powodów. Co za przywilej mają ważne powody, by każdy musiał się do nich stosować? Zresztą, oddałem niechcący ostatnią przysługę przyjacielowi, albowiem wczoraj byłem zaraz na pogrzebie Lisowicza.

— To ten, taki mały, chudy sportsmen? — spytał Bigiel.

— Ten, — odparł Bukacki — i wyobraźcie sobie, że dotychczas nie mogę wyjść ze zdumienia, jak człowiek, który całe życie błaznował, mógł się zdobyć na rzecz tak poważną, jak śmierć. Po prostu, nie poznaję mego Lisowicza! Na każdym kroku ma człowiek zawody.

— Ale — rzekł Połaniecki — opowiadały mi panie Krasławskie, że Płoszowski, ten, w którym to wszystkie kobiety w Warszawie się kochały, zastrzelił się w Rzymie.

— To mój krewny — rzekł pan Pławicki.

Wiadomość poruszyła jednak głównie panią Emilię. Samego Płoszowskiego prawie nie znała, lecz kilka razy w życiu widziała jego ciotkę, u której starszy brat jej męża, po stracie osobistego znacznego majątku, był plenipotentem. Wiedziała też o ślepem przywiązaniu tej ciotki do siostrzeńca.

— Mój Boże, co za nieszczęście! — rzekła. —

Czy to tylko prawda? Człowiek młody, taki zdolny, taki bogaty... Biedna panna Płoszowska.

— I jaki wielki majątek bez spadkobiercy! — dodał Bigiel. — Ja te stosunki znam, bo to tak blizko Warszawy. Stara panna Płoszowska miała dwoje krewnych: panią Kromicką — choć ta była dalsza — i Leona Płoszowskiego, który był najbliższy. Dziś oboje nie żyją.

Te słowa poruszyły znów pana Pławickiego. Był on istotnie jakimś dalekim krewnym panny Płoszowskiej i nawet niegdyś widział ją dwa czy trzy razy w życiu, ale zostało mu po niej tylko wspomnienie strachu, za każdym bowiem razem wypowiadała mu gorzkie prawdy bez ogródek, a raczej, mówiąc po prostu, za każdym razem wylajała go, ile się zmieściło. Z tego powodu w dalszym ciągu życia unikał jej najstaranniej, i wszelkie stosunki były między nimi zerwane, choć przy sposobności lubił dla świata wtrącić słówko o swem pokrewieństwie z rodziną tak znaną i możną. Należał on do tej, licznej w naszym kraju, kategoryi ludzi, która jest przekonana, że Pan Bóg łatwą drogę dojścia do majątku za pomocą spadku umyślnie dla niej stworzył, i która każdą nadzieję tego rodzaju uważa za pewność. To też powiódł uroczystym wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł:

— Może też Opatrzność postanowiła, żeby te

majątki przeszły na inne głowy, które potrafią lepiej ich użyć.

A Połaniecki rzekł:

— Ja Płoszowskiego spotkałem też raz za granicą, i uczynił na mnie wrażenie zupełnie niepospolitego człowieka. Przypominam go sobie doskonale.

— Taki był podobno świetny i sympatyczny — dodała pani Bigielowa.

— Niech Bóg okaże mu miłosierdzie! — rzekł profesor Waskowski. — Znałem go i ja: to był prawdziwy Arya!

— Ozorya — rzekł pan Pławicki.

— Arya — powtórzył profesor.

— Ozorya... — poprawił z naciskiem i godnością pan Pławicki.

I dwaj starzy ludzie poczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem, nie wiedząc, czego wzajem od siebie chcą, i ku wielkiej uciesze Bukackiego, który, nałożywszy monokl, rzekł:

— Jakże: arya czy ozorya?

Nieporozumieniu położył koniec Połaniecki, wyjaśniając, że Ozorya jest to nazwa herbu Płoszowskich, że więc można być razem Aryą i Ozoryą, na co zresztą pan Pławicki zgodził się niechętnie, czyniąc przytem nawiasową uwagę, że kto nosi porządne nazwisko, ten nie potrzebuje się go wstydzić, ani przekręcać.

Bukacki zaś, zwróciwszy się do pani Emilii, począł mówić swym zwykłym zimnym tonem:

— Jedno jedyne samobójstwo uważam za usprawiedliwione, a mianowicie samobójstwo z miłości, skutkiem czego namawiam się na nie od kilku lat — zawsze napróżno!

— Mówią, że samobójstwo to tchórzostwo — wtrąciła Marynia.

— To też ja nie odbieram sobie życia ze zbytku odwagi.

Lecz Bigiel rzekł:

— Mówmy o życiu, nie o śmierci, i o tem, co w niem najlepsze, to jest o zdrowiu. Za zdrowie pani Emilii!

— I Litki! — dodał Połaniecki.

Poczem zwrócił się do panny Maryni:

— Za zdrowie naszych wspólnych przyjaciółek!

— Najchętniej — odrzekła panna Marynia.

On zaś zniżył nieco głos i mówił dalej:

— Bo widzi pani, ja uważam je nietylko za swoje przyjaciółki, ale także... jakby tu powiedzieć?... za orędowniczki. Litka to jeszcze dziecko, ale pani Emilia wie przecie, komu ofiarować przyjaźń, więc gdyby ktoś miał do mnie jakieś uprzedzenia, choćby słuszne, gdybym z kimś postąpił nie tak, jak powinienem, ale wprost źle — i gdyby widział, że ja się tem męczę,

to przecie powinien pomyśleć, że jednak nie jestem najgorszym z ludzi, skoro taka pani Emilia ma dla mnie szczerą życzliwość.

Panna Marynia zmieszała się, ale jednocześnie uczyniło się jej go żal, on zaś kończył jeszcze ciszej:

— A ja się naprawdę męczę. Mnie o to bardzo, bardzo chodzi!

Zanim odpowiedziała, pan Pławicki wzniósł zdrowie pani Bigielowej i wypowiedział całą mówkę, której treścią było, że królową stworzenia jest właściwie nie kto inny, tylko kobieta, zatem przed kobietą, jako królową, powinny się wszelkie głowy pochylać, i z tej przyczyny on pierwszy skłaniał swoją całe życie przed wszystkiemi kobietami wogóle, a obecnie skłania ją przed panią Bigielową w szczególności.

Połaniecki życzył mu w duszy, żeby się udławił, czuł bowiem, że mógłby był uzyskać jakie dobre słowo od panny Maryni, i czuł, że chwila minęła. Jakoż panna Marynia poszła uściskać panią Bigielową, a wróciwszy, nie podniosła więcej zaczętej rozmowy, on zaś nie śmiał spytać jej wprost o odpowiedź.

Zaraz po skończonym obiedzie nadjechały panie Krasławskie: matka, kobieta lat pięćdziesięciu, żywa, pewna siebie, wielomówna — i panna,

w zupełnem przeciwstawieniu do matki, sztywna, sucha, zimna, wymawiająca: «tek» zamiast «tak», ale zresztą z twarzą przystojną, choć bladą, przypominającą nieco twarze holbeinowskich madon.

Połaniecki począł ją ze złości bawić, ale, spoglądając od czasu do czasu na świeżą twarz i niebieskie oczy Maryni, mówił sobie w duchu: «Żebyś też choć słowo dobre dała! ty... ty, bezlitosna!...»

I złościł się coraz bardziej, a gdy panna Krasławska wymówiła raz: «meme» zamiast «mama«, spytał jej szorstko:

— Kto taki?

«Meme» zaś wyładowywała cały zapas swych wiadomości, a raczej domysłów o samobójstwie Płoszowskiego.

— Wyobraźcie sobie państwo, — mówiła z zapałem — mnie zaraz przyszło do głowy, że on się zastrzelił z powodu śmierci Kromickiej. Panie, świeć nad jej duszą, to była kokietka — i nie lubiłam jej nigdy. Kokietowała go tak, żem bała się Terki prowadzić tam, gdzie oni razem byli, bo to dla takiej młodej dziewczyny poprostu zły przykład. Co prawda, to prawda!... Panie, świeć nad jej duszą... Terka także nie miała dla niej sympatyi.

— Ach, pani, — rzekła pani Emilia — ja zawsze słyszałam, że to był anioł.

A Bukacki, który nigdy w życiu nie widział pani Kromickiej, zwrócił się do pani Krasławskiej i rzekł z flegmą:

— Madame, je vous donne ma parole d'honneur, że to był archanioł.

Pani Krasławska umilkła na chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, następnie, zaperzywszy się, byłaby odpowiedziała coś ostrego, gdyby nie to, że Bukacki, jako człowiek zamożny, mógł w danym razie być dobrą partyą dla panny Terki. Równymi względami cieszył się w jej oczach i Polaniecki — i dla nich to wyłącznie utrzymywała w lato stosunki z Bigielami, których zresztą, gdy jej tak wypadło, nie poznawała na ulicy.

— U panów — rzekła — każda przystojna kobieta to zaraz anioł, albo archanioł. Ja nawet i wówczas tego nie lubię, kiedy mi o Terce to mówią. A pani Kromicka mogła być dobrą osobą, ale nie miała taktu — i cała rzecz!

W ten sposób rozmowa o Płoszowskim upadła, tem bardziej, że uwaga pani Krasławskiej zwróciła się wyłącznie na Połanieckiego, który bawił pannę Terkę. On bawił ją trochę na złość sobie, trochę na złość pannie Maryni, i starał się sam w siebie wmówić, że mu jest przy niej

dobrze; starał się nawet znaleźć w niej wdzięk i odkrył, że ma za cienką szyję i oczki, jakby zgasłe, które ożywiają się i zwracają pytająco do niego wówczas, gdy na pytanie niema miejsca. Zauważył także, że mogła być cichą despotką, gdy bowiem matka poczynała mówić zbyt głośno, panna Terka przykładała lornetkę do oczu i spoglądała na nią uważnie, matka zaś pod wpływem tego wzroku zniżała głos lub milkła zupełnie. Wogóle panna Terka nudziła go niepomiernie, i jeśli zajmował się nią pilniej, niż kiedykolwiek, czynił to tylko jako desperat, dla obudzenia choćby cienia zazdrości w pannie Maryni. Nawet zupełnie rozumni ludzie chwytają się takich marnych środków, gdy ich uczuciowa bieda zbyt przyciśnie. Wywołują one zresztą zwykle wprost odwrotny skutek, bo z jednej strony utrudniają później zbliżenie i rozwikłanie nieporozumień, z drugiej potęgują tylko uczucie w sercu tego, kto ich używa. Połaniecki w końcu tak był stęskniony za Marynią, że zgodziłby się nawet na usłyszenie niechętnego słowa z jej ust, byle się do niej zbliżyć i przemówić, a tymczasem wydało mu się to trudniejsze teraz, niż przed godziną.

Odetchnął też głęboko, gdy wieczór się skończył, i gdy goście poczęli się zabierać do odjazdu. Przedtem jednak Litka zbliżyła się do

matki i, objąwszy rękoma jej szyję, poczęła coś do niej szeptać. Pani Emilia skinęła głową, poczem, zbliżywszy się ku niemu, rzekła:

— Panie Stanisławie, jeśli pan nie ma zamiaru nocować, to niech pan jedzie z nami. My z Marynią weźmiemy Litkę między siebie, i miejsca będzie dosyć.

— Dobrze; nie mogę nocować i bardzo jestem wdzięczny — odpowiedział Połaniecki.

I domyśliwszy się łatwo, kto był autorem projektu, zwrócił się do Litki i rzekł:

— Ty kociątko moje najlepsze, ty!...

Ona zaś, trzymając się przy sukni matki, podniosła ku niemu swe oczy, nawpół smutne, nawpół uradowane, pytając cicho:

— Dobrze, panie Stachu?

W kilka chwil później ruszono. Po dniu pogodnym nastała jeszcze pogodniejsza noc, trochę chłodna, ale cała rozjaśniona i srebrna od księżyca. Połaniecki, któremu dzień zeszedł marnie i ciężko, odetchnął teraz pełną piersią i czuł się prawie szczęśliwy, mając przed sobą dwie istoty, które kochał bardzo głęboko, a jedną, którą kochał nad wszystko w świecie. Przy blasku księżyca widział teraz jej twarz, i wydała mu się ona spokojna i łagodna. Pomyślał, że i uczucia Maryni muszą być w tej chwili

takie same, i że może niechęć jej dla niego taje wśród tego ogólnego spokoju.

Litka zasunęła się w głąb siedzenia i zdawała się spać. Połaniecki przyrzucił szalem wziętym od pani Emilii jej nóżki, i jechali czas jakiś w milczeniu.

Poczem pani Emilia poczęła mówić o Płoszowskim, wiadomość bowiem o jego śmierci uczyniła na niej silne wrażenie.

— Tkwi naprawdę w tem wszystkiem jakiś bardzo smutny dramat, — rzekł Połaniecki — i pani Krasławska może mieć trochę słuszności, utrzymując, że te dwie śmierci stoją z sobą w związku.

Na to panna Marynia rzekła:

— Jest w samobójstwie to okropnego, że powinno się je potępić, a potępiając, ma się także wrażenie, jakby się nie miało żadnego współczucia dla nieszczęścia.

Połaniecki zaś odpowiedział:

— Współczucie trzeba mieć dla tych, którzy jeszcze czują, a więc dla żywych.

Rozmowa urwała się, i czas jakiś jechali znów w milczeniu. Po chwili Połaniecki ukazał oświecone okna domu, stojącego w głębi leśnego parku, i rzekł:

— To willa pani Krasławskiej.

— Nie mogę jej darować tego, — rzekła pani

Emilia — co mówiła o tej nieszczęśliwej pani Kromickiej.

— To jest kobieta wprost drapieżna, — odpowiedzial Połaniecki — a wiecie panie dlaczego? Oto z powodu córki. Caly świat uważa za tlo, któreby chciała uczynić jak najczarniejszem, żeby panna Terka odbiła się na niem tem jaśniej. Być może, że matka kroila niegdyś na Płoszowskiego — być może, że panią Kromicką uważała za przeszkodę, i stąd jej nienawiść do niej.

— To ładna panienka — rzekła Marynia.

— Są istoty, dla których poza światem form towarzyskich zaczyna się inny, daleko obszerniejszy — dla niej nie zaczyna się nic — a raczej kończy wszystko. To jest zupełny automat, w którym serce uderzy wówczas dopiero, kiedy matka je kluczem nakręci. Zresztą, dużo jest podobnych panien na świecie, a i te nawet, które wydają się inne, często są takie właśnie... Wieczna historya Galatei... Czy panie uwierzą, że w tej lalce, w tej zgaszonej świeczce, zakochał się przed paru laty, bez pamięci, jeden młody lekarz, mój znajomy. Dwakroć się oświadczał i dwakroć zostal odrzucony, bo te panie patrzyły wyżej. Zaciągnął się następnie do służby holenderskiej — i zapewne umarł tam gdzieś na febrę, bo z początku pisywał do mnie, do-

pytując się o swój automat, a później listy ustały.

— Czy ona wie o tem?

— Wie, bo ilekroć ją zobaczę, tylekroć o nim mówię. I co jest charakterystyczne, to to, że jego wspomnienie nie mąci ani na sekundę jej pogody. Mówi o nim, jak o każdym innym. Jeśli spodziewał się od niej choć pośmiertnego żalu, to i w tem się zawiódł... Muszę paniom pokazać kiedyś jeden jego list. Ja mu próbowałem wytłómaczyć to uczucie, on zaś odpisał mi: «Ja ją sądzę trzeźwo, ale nie mogę duszy od niej odedrzeć...» Był to zresztą sceptyk, człowiek pozytywny — dziecko ostatnich czasów... Ale pokazuje się, że uczucie drwi sobie ze wszystkich filozofii, wszystkich prądów... Wszystko mija, a ono było, jest i będzie... Przytem tamten mówił mi niegdyś tak: «Wolałbym być nieszczęśliwy z nią, niż szczęśliwy z inną...» I co tu gadać! Człowiek patrzy trzeźwo, ale nie może duszy odedrzeć — i skończyło się.

Rozmowa skończyła się również. Wjechali teraz na drogę, wysadzoną kasztanami, których pnie migotały różowo w świetle powozowych latarni.

— A jak komu bieda, to musi cierpieć! — dorzucił naostatek Połaniecki, idąc widocznie za biegiem własnych myśli.

Tymczasem pani Emilia pochyliła się nad Litką:

— Śpisz, dziecinko? — spytała.

— Nie, mamusiu — odpowiedziała Litka.

XIV.

— O majątek nie ubiegałem się nigdy, — mówił pan Pławicki — ale jeśli Opatrzność w niezbadanych swych wyrokach tak pokierowała, żeby choć część tej wielkiej fortuny przeszła w nasze ręce, to nie chcę jej dróg krzyżować... Mnie z tego wiele już nic przyjdzie, mnie potrzebne wkrótce będą cztery deski i cicha łza dziecka, dla którego żyłem, ale tu idzie o Marynię.

— Zwracam pańską uwagę, — rzekł zimno Maszko — że, po pierwsze, to są widoki bardzo niepewne...

— Ale czy godzi się nie brać ich pod uwagę?...

— Powtóre, że pani Płoszowska żyje jeszcze...

— Ale z babinki trociny już się sypią... stara jak grzyb!

— Po trzecie, że może zapisać majątek na cele publiczne...

— Ale czyby nie można przeciw temu wystąpić?

— Po czwarte, że wasze pokrewieństwo jest niezmiernie dalekie. W ten sposób wszyscy w Polsce są sobie krewni.

— Jednakże bliższych krewnych nie ma.

— Połaniecki to przecie także wasz krewny?

— Żaden! dalibóg, żaden! On jest krewny pierwszej mojej żony, nie mój!

— A Bukacki?

— Dajże pan spokój. Bukacki jest kuzynem żony mojego szwagra.

— Innych krewnych pan nie ma?

— Przyznawali się do nas Gątowscy z Jalbrzykowa. Jak to pan wie... Ludzie to mówią, co im pochlebia... Z Gątowskim zresztą nie potrzebuję się liczyć.

Maszko umyślnie przedstawiał trudności, by potem ukazać brzeżek nadziei, więc rzekł:

— U nas ludzie są chciwi na spadki — i niech się spadek jaki otworzy, zlatują się ze wszystkich stron, jak wróble na pszenicę... Wszystko w takich razach polega na tem, kto się prędzej zgłosi... Pamiętaj pan, że człowiek sprężysty i znający się na rzeczy może z niczego coś zrobić, gdy przeciwnie, człowiek bez energii i znajomości interesów, mając nawet pewne podstawy działania, może nic nie wskórać...

— To wiem z doświadczenia. Całe życie miałem póty interesów.

Tu pan Pławicki przeciągnął ręką po gardle, Maszko zaś dodał:

— Prócz tego możesz się pan stać igraszką adwokatów i być wyzyskiwanym bez granic...

— Liczyłbym w takim razie na osobistą pańską z nami przyjaźń...

— I nie zawiódłbyś się pan — odrzekł z powagą Maszko. — I dla pana i dla panny Maryni mam tak głęboką przyjaźń, jak gdybyście należeli do mojej rodziny.

— W imieniu sieroty, dziękuję — odpowiedział pan Pławicki.

I wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej.

Maszko zaś spoważniał i rzekł:

— Ale jeśli chcecie, bym bronił waszych praw i w tym wypadku, który, jak powiedziałem, może się okazać złudzeniem — i w innych — to mi te prawa dajcie...

Tu młody adwokat chwycił rękę pana Pławickiego.

— Szanowny panie, — rzekł — pan domyślasz się, o czem chcę mówić, więc zechciej wysłuchać mnie cierpliwie do końca.

Poczem zniżył głos i, choć nikogo nie było w pokoju, jął mówić prawie cicho. Mówił z siłą, powagą, a zarazem z wielkiem umiarkowaniem, jak przystało na człowieka, który nigdy nie zapomina, kim jest i co przynosi. Pan Pławicki

przymykał chwilami oczy, chwilami ściskał rękę Maszki, wreszcie po ukończonej konferencyi rzekl:

— Przejdź pan do salonu, ja tam przyślę Marynię. Nie wiem, co ona panu odpowie, w każdym razie niech się stanie to, czego Bóg chce... Ja umiałem pana zawsze cenić, teraz cenię jeszcze więcej — i ot!

Ramiona pana Pławickiego otworzyły się szeroko — i Maszko pochylił się ku nim, powtarzając nie bez wzruszenia, choć zawsze z wysoką godnością:

— Dziękuję, dziękuję!

I po chwili znalazł się w salonie.

Panna Marynia wyszła z twarzą mocno pobladłą, ale spokojną. Maszko podsunął jej krzesło, sam siadł na drugiem i począł mówić:

— Jestem tu z upoważnienia ojca pani. Słowa moje nie powiedzą pani już nic takiego, czegoby przedtem nie wypowiedziało milczenie, które pani odgadywała. Ale ponieważ przyszła chwila, w której powinienem nazwać po imieniu moje uczucia, czynię więc to z całą ufnością w serce i charakter pani. Jestem człowiekiem, który panią kocha, na którym się oprzeć można, więc składam w ręce pani moje życie — i proszę z głębi serca, by pani zgodziła się iść razem ze mną.

Panna Marynia milczała przez chwilę, jakby szukając słów, poczem rzekła:

— Winnam panu jasno i szczerze odpowiedzieć; wyznanie to jest dla mnie ciężkie, bardzo ciężkie, ale nie chcę, by się taki człowiek, jak pan, łudził: nie kochałam pana, nie kocham i żoną pańską nie zostanę nigdy, choćby mi przyszło nigdy niczyją nie zostać.

Tu zapanowało milczenie jeszcze dłuższe. Wypieki na twarzy Maszki zapłonęły silniej, a oczy jego poczęły rzucać zimne stalowe blaski.

— Odpowiedź jest równie stanowcza,— rzekł — jak dla mnie bolesna i nieoczekiwana. Czy jednak pani nie zechce, zamiast odtrącać mnie w tej chwili stanowczo, dać sobie kilka dni czasu do namysłu?

— Sam pan powiedział, żem odgadywała uczucia pana, więc miałam czas zastanowić się nad sobą i odpowiedź, jaką panu daję, daję po zupełnym namyśle.

Głos Maszki stał się teraz suchy i ostry:

— Czy pani sądzi przytem, że na mocy zachowania się pani ze mną, nie miałem prawa zanieść takiej prośby, jaką zaniosłem?

I pewien był w tej chwili, że panna Marynia odpowie mu, iż to zachowanie się źle zrozumiał, że nie było w niem nic, coby mogło go upoważniać do jakiejkolwiek nadziei, słowem,

że pójdzie drogą wykrętów, jak zwykle czynią kokietki, które kokieteryę zmuszone są okupować kłamstwem — lecz ona podniosła na niego oczy i rzekła:

— Postępowanie moje z panem nie było chwilami takie, jak być powinno; przyznaję się do winy i z całej duszy za nią przepraszam.

Maszko zamilkł. Kobieta, która się wykręca, budzi pogardę, kobieta, która przyznaje się do winy, wytrąca broń z ręki każdego przeciwnika, w którego naturze, lub choćby tylko w wychowaniu, leży iskra uczuć rycerskich. Prócz tego, jedynym, ostatnim sposobem poruszenia serca kobiety jest w takim razie: nie uznać wspaniałomyślnie jej występku. Maszko, jakkolwiek widział przed sobą przepaść, zrozumiał to — i postanowił postawić wszystko na ostatnią kartę.

Każdy nerw dygotał w nim z gniewu i obrażonej miłości własnej, jednakże opanował się, wziął kapelusz i, zbliżywszy się do panny Maryni, podniósł do ust jej rękę.

— Wiedziałem, że pani kocha Krzemień, — rzekł — i kupiłem go po to jedynie, by go złożyć u nóg pani. Widzę, żem szedł błędną drogą, i cofam się, chociaż czynię to z żalem bez granic. To ja panią przepraszam. Winy ze strony pani nie było i niema żadnej. Spokój pani droższy

mi jest od własnego szczęścia, dlatego proszę, jak o jedyną łaskę: niech pani nie czyni sobie wyrzutów. A teraz żegnam panią.

I wyszedł.

Ona zaś siedziała długi czas nieruchoma, z bladą twarzą i uczuciem znękania w duszy. Nie spodziewała się znaleźć w nim tyle szlachetnych uczuć. Obok tego przyszła jej do głowy następna myśl: «Tamten odebrał mi Krzemień, by uratować swoje — ten go kupił, by mi go zwrócić!» I nigdy dotąd Połaniecki nie był tak dalece zgubiony w jej myślach. W tej chwili nie pamiętała, że Maszko kupił Krzemień nie od Połanieckiego przecie, tylko od jej ojca, powtóre, że kupił go korzystnie, po trzecie, że wprawdzie chciał go zwrócić, ale zarazem i zabrać go na nowo wraz z jej ręką, uwolniwszy się w dodatku od wypłat, które na nim ciążyły, a nakoniec, że, właściwie biorąc, Krzemienia nie wydzierał jej ani Połaniecki, ani nikt inny, tylko pan Pławicki sprzedał go dobrowolnie, ponieważ znalazł kupca. Ale ona patrzyła w tej chwili po kobiecemu na tę sprawę i przeciwstawiała Połanieckiemu Maszkę, wywyższając nad miarę ostatniego, potępiając nad winę pierwszego. Postępowanie Maszki wzruszyło ją tak dalece, że gdyby nie czuła ku niemu wprost odrazy, byłaby go odwołała. Przez chwilę zdawało jej się

nawet, że powinna to uczynić — ale zbrakło jej sił.

Nie wiedziała też, że Maszko schodził ze schodów ze wściekłością i rozpaczą w duszy. Rzeczywiście, otworzyła się przed nim przepaść.

Wszystkie rachuby go zawiodły; kobieta, którą istotnie pokochał, nie chciała go i odrzuciła — i jakkolwiek starała się go w słowach oszczędzać, czuł się upokorzony, jak nigdy w życiu. Cokolwiek dotychczas w życiu przedsiębrał, zawsze przeprowadzał to w poczuciu własnej siły i własnego rozumu, z niezachwianą pewnością, że mu się uda. Odmowa Maryni odebrała mu i tę pewność. Pierwszy raz zwątpił o sobie, pierwszy raz miał poczucie, że jego gwiazda zaczyna blednąć, i że może rozpocząć się dla niego okres klęsk na wszystkich polach, na których dotychczas działał. Okres ten już się nawet rozpoczął. Maszko kupił Krzemień w warunkach wyjątkowo korzystnych, był to jednak majątek zbyt wielki w stosunku do jego środków. Gdyby Marynia nie odrzuciła go, byłby sobie dał rady, w takim bowiem razie nie potrzebowałby myśleć ani o dożywotniej rencie dla pana Pławickiego, ani o spłaceniu tej sumy, która, według układu, przypadała Maryni za Magierówkę. Obecnie miał do spłacenia Maryni, Połanieckiego i długi na Krzemieniu, które

trzeba było spłacić co prędzej, albowiem, z powodu lichwiarskich procentów, rosły one z dnia na dzień i groziły zupełną ruiną. Na to wszystko był tylko kredyt — dotąd wprawdzie nie zachwiany, ale wyciągnięty jak struna; Maszko zaś czuł, że gdyby ta struna kiedykolwiek pękła, byłby zgubiony bezpowrotnie.

Dlatego chwilami, obok żalu za Marynią, obok bólu, jakiego doznaje człowiek po stracie szczęścia, porywał go gniew bez granic, niemal szalony — i również niepohamowana chęć zemsty. Był to człowiek z duszą energiczną, w którego naturze leżała chęć zapłacenia złem za krzywdę. Dlatego, wchodząc do siebie, mruczał przez zaciśnięte zęby:

— Jeśli nie zostaniesz moją żoną, nie daruję ci tego, coś mi uczyniła; jeśli zostaniesz — nie przebaczę ci również.

Tymczasem pan Pławicki wszedł do pokoju, w którym siedziała Marynia, i rzekł:

— Odmówiłaś mu, bo inaczej byłby wstąpił do mnie, wychodząc.

— Tak, papo.

— Nie dałaś mu żadnej nadziei na przyszłość?

— Nie, papo... Szanuję go, jak nikogo w świecie, ale nie dałam mu nadziei.

— Co ci odpowiedział?

— Wszystko, co mógł odpowiedzieć taki szlachetny człowiek.

— Nowe nieszczęście, — rzekł — i kto wie, czy nie pozbawiłaś mnie kawałka chleba na starość... Ale wiedziałem, że z tem nie będziesz się liczyła.

— Nie mogłam, nie mogłam inaczej postąpić.

— Nie chcę też cię zmuszać, a swoje zmartwienie idę ofiarować tam, gdzie każda łza starego będzie policzoną.

I poszedł do Loursa patrzeć na grających w bilard. Byłby się zgodził na Maszkę, ale w gruncie rzeczy nie uważał go za partyę zbyt świetną, i, sądząc, że Maryni może się trafić lepsza, nie martwił się zbytecznie tem, co się stało.

Marynia zaś w pół godziny później wpadła do pani Emilii.

— Jeden przynajmniej ciężar spadł mi z serca — rzekła na wstępie: — odmówiłam dziś stanowczo panu Maszce.

Pani Emilia uściskała ją w milczeniu.

Marynia zaś mówiła dalej:

— Żal mi go... Postąpił ze mną tak szlachetnie i delikatnie, jak tylko taki człowiek mógł postąpić, i gdybym miała dla niego choć małą iskierkę uczucia, wróciłabym do niego dziś jeszcze.

Tu powtórzyła pani Emilii całą rozmowę z Maszką. Istotnie, nie można mu było nic zarzucić, i pani Emilia nie mogła oprzeć się pewnemu zdziwieniu, posądzała bowiem Maszkę o charakter gwałtowny i nie spodziewała się, żeby w tak ciężkiej dla siebie chwili potrafił się zdobyć na tyle umiarkowania i szlachetności. A panna Marynia rzekła:

— Moja Emilko, znam twoją przyjaźń dla pana Połanieckiego, ale sądź tych dwóch ludzi z ich uczynków, nie ze słów, i porównaj ich z sobą.

— Nigdy nie będę ich porównywała — odrzekła pani Emilia. — Tu nie można robić porównań. Pan Stanisław jest dla mnie naturą stokroć wyższą od Maszki, ty zaś sądzisz go niesłusznie. Ty, Maryniu, nie masz prawa mówić: «Jeden odebrał mi Krzemień, drugi chciał mi go zwrócić». Tak nie było. Pan Połaniecki nie odbierał ci go nigdy, a dziś, gdyby mógł, zwróciłby ci go z całego serca. To uprzedzenie mówi przez ciebie.

— Nie uprzedzenie, ale rzeczywistość, której nic zmienić nie może.

A pani Emilia posadziła ją przed sobą i rzekła:

— Owszem, Maryniu; uprzedzenie, i powiem

ci, dlaczego. Oto ty nie jesteś dotychczas dla niego obojętna.

Panna Marynia drgnęła, jakby ktoś dotknął bolącej ją rany, i po chwili odpowiedziała zmienionym głosem:

— Pan Połaniecki nie jest mi obojętny... Masz słuszność... Wszystko, co mogło być we mnie sympatyą dla niego, zmieniło się w niechęć — i słuchaj, Emilko, co ci teraz powiem: gdybym miała wybór między tymi ludźmi, wybrałabym bez żadnego wahania Maszkę.

Pani Emilia spuściła głowę — po chwili ramiona panny Maryni oplotły jej szyję.

— Jakie to dla mnie zmartwienie, że ja tobie sprawiam taką przykrość, ale ja muszę mówić prawdę. Wiem, że w końcu i ty przestaniesz mnie kochać, i zostanę zupełnie sama na świecie.

I rzeczywiście poczęło się stawać coś podobnego. Obie młode kobiety rozstały się w uściskach i pocałunkach, a jednak, gdy się znalazły zdala od siebie, uczuły obie jednocześnie, że coś naderwało się między niemi, i że wzajemny ich stosunek nie będzie tak serdeczny, jak był dotąd.

Pani Emilia wahała się przez kilka dni, czy powtórzyć Połanieckiemu słowa Maryni, lecz on prosił ją tak usilnie o całą prawdę, iż w końcu

pomyślała, że i trzeba i lepiej będzie ją wypowiedzieć. On zaś, wysłuchawszy wszystkiego, rzekł:

— Dziękuję pani. Jeśli panna Pławicka mną pogardza, muszę się na to zgodzić, nie mogę się tylko na to zgodzić, bym sam sobą zaczął pogardzać. Zaszedłem i tak za daleko. Pani droga wie, że jeślim względem niej zawinił, tom się starał to naprawić, a ją przebłagać. Do dalszych obowiązków się nie poczuwam. Będę miał ciężkie chwile, tego pani nie ukrywam, ale niedołęgą nie byłem, nie jestem, i potrafię zdobyć się na to, by wszystko, co dla panny Pławickiej czuję, wyrzucić przez okno, jako rzecz w moim pokoju niepotrzebną. To pani święcie przyrzekam!

— Wierzę panu, ale się przytem bardzo cierpi.

On zaś odrzekł prawie wesoło:

— Co tam! jak mi zbyt sparzenie dokuczy, poproszę pani o opatrunek, a wiem, że gdy mi go takie poczciwe ręce zrobią, to będzie skuteczny. Lituś pani pomoże, i ani syknę.

Poczem wrócił do siebie, pełen wewnątrz poczucia woli i energii. Zdawało mu się, że potrafi wziąć to uczucie i złamać je, jak się łamie laskę o kolano. Tym zapędem żył kilka dni następnych. Nie pokazywał się przez ten czas

nigdzie, prócz w biurze, gdzie rozmawiał z Bigielem wyłącznie o interesach. Pracował od rana do wieczora i nie pozwalał sobie we dnie nawet myśleć o Maryni.

Ale nie mógł się od tego obronić podczas bezsennych nocy. Wówczas przychodziło na niego wyraźne poczucie, że Marynia mogła go kochać, mogła wyjść za niego, że byłaby mu najlepszą żoną, że mógł być z nią szczęśliwy, jak nigdy z nikim nie będzie, i że kochałby ją, jak swoje najwyższe dobro.

Żal, który narodził się z tych rozmyślań, wniknął w jego całe istnienie i nie opuszczał go więcej, że zaś żal pożera duszę i zdrowie, jak rdza żelazo, więc Połaniecki począł marnieć. Spostrzegł, że łamanie uczucia daje jeden niewątpliwy skutek: złamanie szczęścia. Nigdy nie widział przed sobą takiej pustki i nigdy nie odczuwał z równą siłą, że nic mu jej zapełnić nie zdoła. Spostrzegł także, że można kobietę kochać nie taką, jak jest, ale taką, jakby być mogła. I wreszcie tęsknił bez miary.

Ale, mając nad sobą dużo władzy, unikał Maryni. Wiedział zawsze, kiedy ma być u pani Emilii, i wówczas zamykał się w domu.

Dopiero gdy Litka zachorowała, począł chodzić do pani Emilii codziennie, przesiadywać

u niej po całych dniach i spędzać godziny razem z Marynią przy chorem dziecku.

XV.

A biedna Litka po nowym, groźniejszym, niż poprzednio, ataku, nie mogła już przyjść do zdrowia. Dni spędzała teraz leżąc na szezlongu w saloniku, albowiem na jej prośbę lekarze i pani Emilia zgodzili się nie trzymać jej cały czas w łóżku. Lubiła też, gdy Połaniecki siedział przy niej, i rozmawiała z nim i z matką o wszystkiem, co jej przechodziło przez główkę. Z Marynią bywała zwykle milcząca, natomiast czasem wpatrywała się w nią długo, a potem podnosiła oczy do sufitu, jakby namyślając się nad czemś, jakby chcąc coś zrozumieć i zdać sobie z czegoś sprawę. Nieraz te zamyślania się jej zdarzały się i wówczas, gdy zostawała z matką sam na sam, pewnego zaś popołudnia zbudziła się jakby ze snu i, zwróciwszy się do matki, rzekła:

— Mamusiu, niech mamusia siądzie przy mnie, tu, na sofie.

Pani Emilia siadła; dziecko otoczyło ręką jej szyję i, wsparłszy głowę na jej ramieniu,

poczęło mówić pieszczotliwym, osłabionym nieco głosem:

— Bo ja się chciałam mamusi spytać o jedną rzecz, tylko nie wiem, jak to powiedzieć.

— O co ci idzie, dziecinko?

Litka milczała przez chwilę, zbierając myśli, poczem spytała:

— Jeżeli się, mamusiu, kogo kocha, to co?

— Jeśli się kogoś kocha, Lituś?

Pani Emilia powtórzyła pytanie, nie rozumiejąc zrazu dobrze, o co dziewczynka pyta, ona jednak nie umiała pytać dokładniej.

— To co, mamusiu?...

— To chciałoby się, żeby ten ktoś był zdrów, tak, jak ja chcę, żebyś ty była zdrowa.

— I co jeszcze?

— I chciałoby się, żeby był szczęśliwy, żeby mu na świecie było dobrze, a jeśli trafi mu się co złego, to chciałoby się samemu za niego cierpieć.

— I co jeszcze?

— I chciałoby się mieć go zawsze przy sobie, tak, jak ty jesteś przy mnie — i chciałoby się, żeby on tak kochał, jak ty mnie kochasz.

— To ja teraz rozumiem — rzekła po chwili zamyślenia się Litka. — I ja sama myślałam, że to tak.

— Tak, kotku.

— Bo, widzi mamusia, ja jeszcze w Reichenhallu, pamięta mama? w Thumsee, słyszałam, że pan Stach kocha pannę Marynię, i teraz wiem, że on musi być nieszczęśliwy, chociaż nigdy o tem nie mówi.

Pani Emilia, bojąc się wzruszeń dla Litki, rzekła:

— Czy ciebie, kotku, nie męczy ta rozmowa?

— O, nic a nic! Już teraz rozumiem. Onby chciał, żeby ona jego kochała, a ona nie kocha, i chciałby być zawsze przy niej, a ona mieszka z ojcem i nie chce się z nim ożenić.

— Wyjść za niego...

— Wyjść za niego. On się tem martwi, mamusiu? prawda?

— Pewnie, moje dziecko.

— Bo ja to wszystko wiem. A żeby ona wyszła za niego, czyby go kochała?

— Pewnie, kotku, on taki dobry człowiek.

— To ja już teraz wiem.

Dziewczynka przymknęła oczy, i pani Emilia sądziła przez chwilę, że usypia, ale ona po niejakim czasie znów poczęła pytać:

— A jakby on się ożenił z Marynią, czyby nas przestał kochać?

— Nie, Lituś. Onby nas zawsze tak samo kochał.

— Ale Marynię lepiej?

— Marynia byłaby mu wtedy bliższą, niż my. Czemu się ty, kotku, o to dopytujesz?

— To źle?

— Nie, niema w tem nic złego, nic a nic! Tylko boję się, że się zmęczysz.

— O nie! ja i tak ciągle o panu Stachu myślę. Ale niech mamusia nic o tem Maryni nie mówi.

Na tem skończyła się rozmowa, po której Litka przez kilka następnych dni była milcząca, tylko jeszcze uporczywiej, niż przedtem, wpatrywała się w Marynię. Czasem brała ją za rękę i zwracała ku niej oczy, jakby chciała ją o coś zapytać. Czasem, gdy oboje z Połanieckim byli przy niej, przenosiła ustawicznie wzrok to na nią, to na niego, a potem przymykała powieki. Oni zaś przychodzili często, codziennie, czasem i kilka razy na dzień, chcąc ulżyć pani Emilii, która, nie pozwalając się nocami nikomu przy Litce zastąpić, spędzała je od tygodnia bezsennie, śpiąc nieco tylko w dzień, gdy sama Litka ją o to prosiła. Pani Emilia nie zdawała sobie jednak sprawy z całego niebezpieczeństwa, jakie małej groziło, lekarz bowiem, sam nie wiedząc, jak się obróci ten okres choroby, czy będzie tylko krokiem naprzód, czy końcem, uspokajał matkę tembardziej stanowczo, że Połaniecki jak najusilniej go o to prosił.

Miała jednak przeczucie, że stan dziecka nie jest pomyślny i, mimo uspokojeń lekarza, serce zamierało w niej nieraz z trwogi. Litce ukazywała wprawdzie twarz zawsze uśmiechniętą i wesołą, również jak Połaniecki i panna Marynia, ale dziewczynka nauczyła się obecnie tak uważać na wszystko, że najstaranniej ukrywany niepokój nie uszedł jej baczenia.

Więc też pewnego rana, gdy Połaniecki, zostawszy sam z nią, zajęty był nadymaniem dla niej wielkiego globusa z tafty jedwabnej, który przyniósł jej w darze, dziewczynka rzekła:

— Panie Stachu, ja czasem widzę, że mamusia okropnie się martwi, że ja chora.

Połaniecki przestał nadymać balon i odpowiedział:

— Ani jej się śni. Co tam się roi pod tą czupryną! Zresztą, naturalnie, że się martwi, bo wolałaby, żebyś była zdrowa...

— Dlaczego to wszystkie inne dzieci są zdrowe, tylko ja jedna ciągle choruję?

— Ładnie zdrowe! A Bigielęta nie chorowały, jedno w drugie, na koklusz? Przez kilka miesięcy cały dom był jak owczarnia. A Józio nie miał odry? Wszystkie dzieciska wiecznie chorują, i tyle z nich pociechy.

— To pan Stach tylko tak mówi, bo one chorują, a potem są zdrowe...

Tu poczęła trząść główką.

— Nie, to co innego. I teraz ciągle muszę leżeć, bo mi zaraz serce bije. I jak onegdaj zaczęli śpiewać na ulicy, a mamusi nie było w pokoju, to poszłam trochę do okna i zobaczyłam pogrzeb — i pomyślałam, że ja także pewno umrę...

— Plecie Litka! — zawołał Połaniecki.

I począł prędko znów nadymać globus, żeby pokryć wzruszenie, a zarazem pokazać dziewczynce, jak mało znaczą jej słowa.

Lecz dziecko szło dalej za swoją myślą:

— Mnie tak czasem duszno i tak mi serce bije... Mamusia powiedziała, żebym ja wtedy mówiła: «Pod Twoją obronę» — i ja zawsze mówię, bo ja się okropnie boję umrzeć! Ja wiem, że w niebie dobrze, ale nie byłabym z mamusią, tylko sama na cmentarzu... Tak, i w nocy...

Połaniecki położył nagle globus, siadł przy kanapce i, wziąwszy rękę Litki, rzekł:

— Mój Lituś, jeśli mamę kochasz, jeśli mnie kochasz, nie myśl o takich rzeczach. Tobie nic nie będzie, ale dopieroby się mama martwiła, gdyby wiedziała, czem dziecko sobie główkę zaprząta! Bo pamiętaj, że sobie tem szkodzisz...

A Litka złożyła ręce:

— Mój panie Stachu, już tylko o jedno zapytam, tylko o jedno — nic więcej!

On pochylił ku niej głowę.

— No, pytaj, kocie. Byle o co mądrego.

— Czy pan Stach bardzoby mnie żałował?

— A, widzisz, jakaś niepoczciwa!

— Mój panie Stachu!... powiedzieć!

— Ja? co za niegodziwe dziecko! Lituś wie, że ją kocham... ogromnie kocham! Niech Bóg broni... Nikogo na świeciebym tak nie żałował... Będzieszże ty mi cicho nareszcie, ty mucho utrapiona! ty... najmilsze drogie stworzenie!...

A dziewczynka zwróciła ku niemu rozjaśnione oczy:

— Już będę cicho... Dobry pan Stach!

I w chwili, gdy weszła pani Emilia, a on zabierał się do odejścia, spytała jeszcze:

— Ale pan Stach nie gniewa się na mnie?

— Nie, Lituś! — odrzekł Połaniecki.

Wyszedłszy do przedpokoju, usłyszał lekkie stukanie we drzwi, pani Emilia bowiem kazała zdjąć dzwonki. Otworzył i spostrzegł Marynię, która zwykle przychodziła wieczorami. Przywitawszy się z nim, spytała:

— Jak dziś Litka?

— Jak zwykle.

— Był doktor?

— Był. Nic nowego nie znalazł. Pozwoli pani sobie pomódz?

To powiedziawszy, chciał zdjąć z niej paletot,

lecz ona odmówiła, nie chcąc przyjmować jego usług. Wówczas, mając serce wezbrane poprzednią rozmową z Litką, napadł na nią najniespodzianiej:

— To jest prosta grzeczność, nic więcej, a choćby było czemś więcej, mogłaby wreszcie pani zostawić swoją niechęć do mnie za tym progiem, bo tam jest dziecko chore, które nietylko ja, ale i pani niby kocha. W tem poprostu niema nietylko dobroci, ale i miary. Zdjąłbym tak samo paletot z każdej innej kobiety, i niech pani wie, że teraz myślę o Litce i o niczem więcej.

I mówił to z wielką zapalczywością, tak, że zaskoczona nią nagle panna Marynia trochę przestraszyła się naprawdę, trochę straciła głowę, tak, że pozwoliła pokornie zdjąć z siebie paletot, i nietylko nie znalazła w sobie siły, by się obrazić, ale uczuła, że tak może przemawiać człowiek szczerze i głęboko dotknięty niepokojem, zmartwieniem, zatem człowiek prawdziwie czujący i z gruntu dobry.

Może wreszcie ta niespodziana jego energia przemówiła do jej natury kobiecej, dość, że Połaniecki ujął ją w tej chwili więcej, niż kiedykolwiek od czasu widzenia się w Krzemieniu, i nigdy dotychczas nie przypomniał jej tak silnie owego dzielnego, młodego człowieka, którego

oprowadzała niegdyś po krzemienieckim ogrodzie. Było to wprawdzie wrażenie przelotne, które nie mogło stanowić o wzajemnym ich do siebie stosunku, ale na razie podniosła na niego oczy nieco zdziwione, lecz nie gniewne, i rzekła:

— Przepraszam pana...

On zaś pohamował się przez ten czas i zawstydził:

— To ja przepraszam. Litka gadała mi dziś o swojej śmierci, i taki jestem wzburzony, że rady sobie dać nie mogę... Pani powinna to zrozumieć i przebaczyć mi.

To rzekłszy, ścisnął silnie jej rękę i wyszedł.

XVI.

Następnego dnia Marynia ofiarowała się pani Emilii zamieszkać u niej aż do zupełnego wyzdrowienia Litki, Litka zaś poparła jej prośbę, na którą pani Emilia po krótkim oporze była zmuszona się zgodzić. Rzeczywiście upadała ze znużenia; zdrowie chorej wymagało nieustającej i wyjątkowej czujności, nowy atak bowiem mógł przyjść lada chwila. Trudno było liczyć, żeby służąca, choćby najbardziej przywiązana, nie zdrzemnęła się w takiej właśnie chwili, w której

śpieszny ratunek mógł stanowić o życiu dziecka — więc obecność Maryni była prawdziwą pomocą i uspokojeniem dla stroskanej matki.

Co do pana Pławickiego, ten wolał jadać w restauracyi, niż w domu, nie robił więc trudności. Marynia zresztą wpadała codzień dowiedzieć się o jego zdrowie i przyprowadzić do porządku domowe rachunki, potem wracała do pani Emilii, by połowę nocy przesiedzieć przy małej.

W ten sposób Połaniecki, który wszystkie chwile wolne od zajęć spędzał u pani Emilii i przyjmował, a raczej odprawiał z podziękowaniami wszystkich, którzy przychodzili dopytywać się o zdrowie dziewczynki, widywał Marynię codziennie.

I podziwiał ją szczerze. Sama pani Emilia nie okazywała więcej troskliwości dla chorej i nie umiała lepiej koło niej chodzić. Po tygodniu twarz panny Maryni pobladła z niewywczasu i obawy, oczy podkrążyły się ciemno, ale siły jej i energia zdawały się wzrastać z każdą chwilą. Było w niej przytem tyle słodyczy i dobroci, coś tak cichego i delikatnego w usługach, jakie oddawała Litce, że dziewczynce, mimo owej urazy, którą dla Maryni żywiła w głębi swej małej duszki, poczęło być z nią dobrze,

i gdy oddaliła się na kilka godzin do ojca, chora wyglądała jej z utęsknieniem.

Zresztą zdrowie małej raczej się poprawiło w ostatnich czasach. Doktor pozwolił jej wstawać, przechadzać się po pokoju i siadywać w fotelu, który w słoneczne dni przysuwano jej do drzwi, prowadzących na balkon, aby mogła spoglądać na ulicę i rozrywać się ruchem ludzi i powozów.

Połaniecki, pani Emilia i panna Marynia otaczali ją często wówczas, a przedmiotu do rozmów i pogadanek dostarczało to, co się działo na ulicy. Czasem dziecko było znużone i jakby zadumane; czasem jednak dziecinna natura brała górę, i bawiło ją wszystko, więc i październikowe słońce, obrzucające dachy, ściany i szyby sklepów bladem złotem, i stroje przechodniów, i nawoływania przekupniów. Zdawało się, że owe potężne pierwiastki życia, pulsujące w wirze miejskim, wchodzą w dziecko i ożywiają je. Czasem przychodziły jej też do głowy dziwne myśli, i raz, gdy przed balkonem przesuwał się ciężki wóz, wiozący drzewa cytrynowe w donicach, które, lubo skrępowane łańcuchami, chwiały się zgodnie z ruchem wozu, mała rzekła:

— Im serce nie bije.

A potem, podnosząc oczy na Połanieckiego, spytała:

— Panie Stachu, czy drzewa długo żyją?

— Bardzo długo, niektóre żyją tysiące lat.

— O, to ja chciałabym być drzewem. A mamusia jakie najlepiej lubi?

— Brzozę.

— To ja chciałabym być małą brzózką, a mamusia byłaby dużą, i rosłybyśmy razem. A pan Stach chciałby także być brzozą?

— Bylem rósł gdzie niedaleko od małej brzózki.

Litka zaś popatrzała na niego i, potrząsając trochę smutno główką, rzekła:

— O, nie! ja teraz wiem wszystko. Ja wiem, przy kimby pan Stach chciał rosnąć.

Panna Marynia zmieszała się i spuściła oczy na robotę, Połaniecki zaś począł gładzić lekko dłonią płową główkę i powtarzać:

— Moje kociątko kochane, moje miłe! moje, moje!...

Litka umilkła; następnie z pod długich jej rzęs wypłynęły dwie łzy i stoczyły się cicho po policzkach.

Po chwili podniosła jednak swoją słodką twarzyczkę, rozjaśnioną uśmiechem.

— Ja mamusię bardzo kocham, — rzekła — i pana Stacha kocham, i Marynię kocham...

XVII.

Profesor Waskowski dowiadywał się codziennie o zdrowie małej, i choć najczęściej go nie przyjmowano, przysyłał jej kwiaty. Połaniecki, spotkawszy go raz na obiedzie, począł mu dziękować w imieniu pani Emilii.

— Astry tylko, astry! — odrzekł profesor. — Jak ona się dziś ma?

— Dziś nieźle, a wogóle niedobrze. Gorzej, niż w Reichenhallu. Strach zawsze ogarnia przed każdym następnym dniem, a gdy się pomyśli, że tego dziecka może zabraknąć!...

Tu Połaniecki urwał, bo zbrakło mu w gardle dalszych słów; wreszcie, chcąc się sam przełamać, począł kląć:

— Co tu się oglądać za jakiemś zmiłowaniem! Jest tylko logika, która powiada, że kto ma chore serce, ten musi umrzeć — i niechże piorun trzaśnie takie życie!

Na to nadszedł Bukacki, który, dowiedziawszy się o co chodzi, napadł również na profesora Waskowskiego, i on bowiem, kochając Litkę, buntował się w duszy na myśl o grożącej jej śmierci.

— Jak można łudzić się dobrowolnie przez tyle lat i wygłaszać zasady, które obracają się wniwecz wobec ślepego przeznaczenia.

Lecz stary człowiek odpowiedział łagodnie:

— Jak wy możecie, moi kochani, mierzyć waszą własną miarą mądrość boską i miłosierdzie boskie? Kto wszedł w podziemie, tego otacza ciemność, ale ten nie ma jeszcze prawa przeczyć, że ponad sklepieniem istnieje niebo i słońce, światło i ciepło...

— Oto mi pociecha! — przerwał Połaniecki: — mucha nie wyżyje na tej filozofii, a cóż dopiero matka, której jedyne i kochane dziecko umiera.

Lecz niebieskie oczy profesora były już jakby za światem; przez chwilę wpatrywał się uporczywie przed siebie, poczem ozwał się, jak człowiek, który coś widzi, ale nie jest pewny, czy widzi dokładnie:

— A mnie się zdaje, że to dziecko zanadto wszczepiło się w serce ludzkie, żeby tak ot przejść i odejść bez śladu. Coś w tem jest... Coś jej było przeznaczone, ona musi coś spełnić — i przedtem nie umrze.

— Mistycyzm! — rzekł Bukacki.

Lecz Połaniecki przerwał:

— Oby tak było! Mistycyzm, nie mistycyzm, ale oby tak było! Człowiek w biedzie chwyta się nawet za cień nadziei. Mnie też nigdy się w głowie nie mieściło, żeby ona miała umrzeć.

A profesor dodał:

— Kto wie! może ona nas wszystkich jeszcze przeżyje!

Połaniecki był w tej fazie sceptycyzmu, w której człowiek w niczem nie uznaje pewności, ale wszystko uznaje za możliwe, zwłaszcza to wszystko, czego w danym wypadku pragnie serce; odetchnął więc lżej i nabrał jakoś otuchy.

— Niech Bóg zmiłuje się nad nią i nad panią Emilią — rzekł. — Dałbym na sto mszy, gdybym wiedział, że jej to pomoże.

— Daj na jedną, byle ze szczerą intencyą.

— A dam! a dam! Co do szczerości intencyi, nie byłbym szczerszy, gdyby o własną moją skórę chodziło.

A Waskowski uśmiechnął się i rzekł:

— Ty jesteś na dobrej drodze, bo umiesz kochać.

I jakoś lżej uczyniło się wszystkim. Bukacki, jeśli myślał w duszy coś przeciwnego temu, co mówił Waskowski, nie śmiał się z tem odezwać, bo sceptycyzm, choćby najbardziej wkorzeniony, gdy ludzie wobec prawdziwego nieszczęścia szukają ratunku w wierze, nakłada czapkę na uszy i nietylko tchórzy, ale wydaje się sam sobie marnym i małym.

Bigiel, który nadszedł w tej chwili, ujrzał weselsze twarze i rzekł:

— Widzę po was, że mała nie gorzej.

— Nie, nie! — rzekł Połaniecki — i profesor mówił nam takie poczciwe rzeczy, że tylko go do rany przyłożyć.

— Chwała Bogu! Żona moja dała dziś na mszę, a potem poszła do pani Emilii. Dziś będę jadł z wami, bo mam urlop, i skoro Litce lepiej, to powiem wam drugą wesołą nowinę.

— Co takiego?

— Spotkałem przed chwilą Maszkę, który zresztą zaraz tu przyjdzie, a jak przyjdzie, to mu powinszujcie, bo się żeni.

— Z kim? — spytał Połaniecki.

— Z moją sąsiadką.

— Z panną Krasławską?

— Tak.

— Rozumiem — rzekł Bukacki: — skruszył na proch te panie swoją wielkością, swojem urodzeniem, swoim majątkiem i z tego prochu ulepił sobie żonę i teściową.

— Wytłómaczcie mi jedną rzecz — rzekł profesor Waskowski. — Maszko jest człowiekiem religijnym...

— Jako konserwatysta, — przerwał Bukacki — dla przyzwoitości.

— I te panie także — ciągnął dalej Waskowski.

— Ze zwyczaju...

— Dlaczego oni nie zamyślają się nigdy o życiu przyszłem?

— Maszko! czemu ty nie zamyślasz się nigdy o życiu przyszłem? — zawołał Bukacki, zwracając się do wchodzącego w tej chwili adwokata.

Maszko zaś zbliżył się do nich i spytał:

— Jak powiadasz?

— Powiadam: Tu felix, Maszko, nube!

Wówczas wszyscy poczęli mu składać życzenia, on zaś przyjmował je z pełną godności powagą, w końcu przemówił:

— Moi drodzy, dziękuję wam z całego serca, a ponieważ wszyscy znacie moją narzeczoną, więc nie wątpię o szczerości waszych życzeń.

— Nie pozwól sobie na to! — rzekł Bukacki.

A Połaniecki dorzucił:

— W porę ci przyszedł Krzemień.

Krzemień istotnie przyszedł Maszce w porę, bez niego bowiem może nie zostałby przyjęty. Ale właśnie dlatego ta uwaga nie była mu przyjemną, więc skrzywił się i rzekł:

— Ułatwiłeś mi to kupno, i czasem ci jestem za to wdzięczny, a czasem cię przeklinam.

— Dlaczego?

— Bo twój wujaszek Pławicki jest najnudniejszą i najnieznośniejszą figurą na świecie, nie mówiąc o twojej kuzynce, która jest bardzo miła panna, ale odmienia od rana do wieczora swój

nieodżałowany Krzemień przez wszystkie siedm przypadków, dodając do każdego łezkę. Ty tam mało bywasz, ale wierz mi, że to jest także niepospolicie nudne.

A Połaniecki począł mu patrzeć w oczy i odpowiedział:

— Słuchaj, Maszko. Ja wygadywałem na mojego wujaszka, co wlazło, ale nie idzie za tem, żebym miał słuchać cierpliwie, gdy ktoś na niego wygaduje, zwłaszcza ktoś, kto zrobił na nim dobry interes. Co do panny Maryni, wiem, że jej żal Krzemienia, ale to dowodzi, że nie jest pustą lalką, nie jest manekinem, tylko kobietą z sercem, rozumiesz mnie!

Nastała chwila milczenia. Maszko doskonale zrozumiał, kogo Połaniecki miał na myśli, mówiąc o pustej lalce i manekinie, więc wypieki na twarzy przybrały barwę cegły, a usta poczęły drgać. Jednak pohamował się. Nie był on wcale tchórzem, ale nawet najzuchwalszy człowiek ma zwykle kogoś, z kim woli nie zadzierać, i dla Maszki takim kimś był właśnie Połaniecki.

Więc wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Czego ty się gniewasz? Jeśli ci to robi przykrość...

Lecz Połaniecki przerwał:

— Ja się nie gniewam, tylko radzę ci pamiętać moje słowa.

I patrzył mu dalej w oczy, Maszko zaś pomyślał: «Jeśli chcesz koniecznie awantury, to będziesz ją miał».

— Twoje słowa — odrzekł — mogę pamiętać, tylko przyjmijże i ty ode mnie radę: nie pozwalaj sobie do mnie mówić tym tonem, bo mógłbym go także zapamiętać i wezwać cię do obrachunku.

— Co u licha! — zaczął Bukacki. — Co wam jest!?

Lecz Połaniecki, w którym rozdrażnienie na Maszkę zbierało się oddawna, byłby posunął niechybnie rzeczy do ostateczności, gdyby nie to, że w tej chwili wpadł do gabinetu służący pani Emilii.

— Proszę pana — rzekł zdyszanym głosem: — panienka umiera!

Połaniecki zbladł i, porwawszy za kapelusz, skoczył do drzwi. Nastało głuche, długie milczenie, które przerwał wreszcie Maszko:

— Zapomniałem, — rzekł — że jemu wszystko trzeba teraz wybaczyć...

A Waskowski, zakrywszy oczy rękoma, począł się modlić.

Wreszcie podniósł głowę i ozwał się:

— Bóg jeden okiełznał śmierć i potrafi ją powstrzymać.

Jakoż w kwadrans później Bigiel odebrał od żony kartkę ze słowami:

— «Atak minął».

XVIII.

Połaniecki pędził do pani Emilii w trwodze, czy zastanie jeszcze Litkę przy życiu, służący bowiem powiedział mu podczas drogi, że panienka dostała konwulsyi i była konająca. Gdy jednak przybył na miejsce, pani Emilia sama wybiegła na jego spotkanie, i jednym tchem, z głębi piersi, rzuciła mu słowa:

— Lepiej! lepiej!

— Doktor jest? — spytał Połaniecki.

— Jest.

— A mała?

— Śpi.

W twarzy pani Emilii resztki przerażenia walczyły z nadzieją i radością. Połaniecki zauważył, że usta jej były prawie białe, oczy suche i zaczerwienione, a twarz w wypiekach. Była śmiertelnie znużona, albowiem nie spała od dwudziestu czterech godzin.

Lekarz jednak, człowiek młody i energiczny, uważał, że niebezpieczeństwo na razie minęło. Panią Emilię pokrzepiło szczególniej to, co powiedział jej przy Połanieckim:

— Nie powinniśmy dopuścić do następnego ataku i nie dopuścimy.

Była w tych słowach istotnie otucha, widocznie bowiem doktor uważał za rzecz możliwą niedopuszczenie do następnego ataku, ale było i ostrzeżenie, że następny mógłby być śmiertelnym. Lecz pani Emilia czepiała się teraz każdej nadziei, jak człowiek spadający w przepaść czepia się gałęzi drzew, rosnących nad jej krawędzią.

— Nie dopuścimy! nie dopuścimy! — powtarzała, ściskając gorączkowo rękę doktora.

Połaniecki spojrzał mu nieznacznie w oczy, jakby chcąc wyczytać w nich, czy mówi to dla uspokojenia matki, czy na podstawie lekarskiego przeświadczenia, poczem spytał na próbę:

— Pan nie odstąpi jej dzisiaj?

— Nie widzę tego najmniejszej potrzeby — odpowiedział doktor. — Dziecko jest wyczerpane i prawdopodobnie będzie spało długo i mocno. Jutro przyjdę, ale dziś z zupełnym spokojem mogę iść do domu.

Poczem zwrócił się do pani Emilii:

— Pani również powinna wypocząć. Wszel-

kie niebezpieczeństwo minęło, trzeba zaś, żeby chora nie widziała na twarzy pani ani zmęczenia, ani niepokoju, albowiem sama mogłaby się tem zaniepokoić, a na to jest zbyt słaba.

— Nie mogłabym zasnąć — odpowiedziała pani Emilia.

Lecz doktor zwrócił na nią swoje blado-niebieskie oczy i, wpatrzywszy się w nią jakby z pewnem natężeniem, rzekł zwolna:

— Za godzinę położy się pani i zaraz zaśnie. Sześć do ośmiu godzin będzie pani spała nieprzerwanym snem. Powiedzmy ośm... Jutro będzie się pani czuła silna i wypoczęta. A teraz, dobranoc.

— A krople na wypadek, jeśli się mała obudzi?

— Krople da kto inny. Pani będzie spała. Dobranoc.

I począł się żegnać. Połaniecki chciał iść za nim, by wypytać go na cztery oczy o Litkę, pomyślał jednak, że dłuższa tego rodzaju rozmowa, mogłaby zaniepokoić panią Emilię, więc wolał jej zaniechać, przyrzekłszy sobie natomiast, że nazajutrz pójdzie do mieszkania doktora i tam się z nim rozmówi.

Po chwili, gdy zostali sam na sam z panią Emilią, rzekł:

— Niech pani uczyni, jak doktor mówi.

Trzeba odpocząć. Zapowiadam, że idę teraz do pokoju Litki i nie ruszam się całą noc.

Lecz jej wszystkie myśli były przy małej, więc zamiast odpowiedzieć mu wprost, rzekła:

— Czy pan wie, że po ataku, przedtem nim usnęła, pytała się o pana kilka razy... i o Marynię także. Usnęła z zapytaniem: «Gdzie pan Stach?»

— Moja biedaczka kochana! Ja byłbym i tak przyszedł zaraz po obiedzie. Leciałem tu ledwie żywy. Kiedy się atak rozpoczął?

— Przed południem. Od rana była smutna, jakby coś przeczuwała. Pan wie, że ona przede mną zawsze zaręcza, że jest zdrowa, musiała się jednak czuć niedobrze, bo przed samym atakiem siadła przy mnie i prosiła, żeby ją trzymać za rączkę. Wczoraj jeszcze — zapomniałam panu powiedzieć — zadawała mi takie dziwne pytania: czy prawda, że jak chore dziecko o co prosi, to mu się nigdy nie odmawia? Ja powiedziałam, że tak, chybaby prosiło o rzeczy niemożliwe do spełnienia. Coś jej chodziło widocznie po główce, bo wieczorem, jak Marynia wpadła na chwilkę, znów zadawała nam podobne pytania. Poszła spać wesoło, ale dziś od rana skarżyła się na duszność. Szczęściem, że posłałam po doktora przed samym atakiem, i że zaraz przyszedł.

— Największe szczęście to, że odszedł z taką pewnością, iż atak się nie powtórzy. Jestem zupełnie pewny, że takie jest jego przekonanie — odpowiedział Połaniecki.

Pani Emilia podniosła oczy w górę:

— Pan Bóg taki miłosierny! taki dobry, że...

I, mimo wszelkich wysileń, poczęła łkać, albowiem stłumiona trwoga i rozpacz zmieniły się w niej teraz w radość i znalazły ujście we łzach. W tej szlachetnej i uduchowionej naturze wrodzona egzaltacya psuła wiecznie spokojny rozmysł, skutkiem czego pani Emilia nie zdawała sobie w niczem sprawy z istotnego stanu rzeczy, i teraz naprzykład nie miała najmniejszej wątpliwości, iż choroba Litki skończyła się raz na zawsze tym ostatnim atakiem, i że odtąd pocznie się dla niej okres zupełnego zdrowia.

Połaniecki zaś nie miał ani ochoty, ani serca wskazywać jej pośredniej drogi między rozpaczą a radością. Serce wezbrało mu dla niej wielką litością, i przyszła na niego jedna z takich chwil, w której odczuwał wyraźniej, niż zwykle, jak głęboko, chociaż bezinteresownie, jest przywiązany do tej egzaltowanej i idealnej kobiety. Gdyby była jego siostrą, byłby ją objął i przycisnął do piersi, tymczasem ucałował jej delikatne, wychudłe ręce i rzekł:

— Chwała Bogu, chwała Bogu! Niech droga

pani teraz o sobie pomyśli, a ja idę do małej i nie ruszę się, póki się nie obudzi.

I poszedł. W pokoju Litki panował mrok, bo żaluzye były spuszczone, a na dworze słońce już zachodziło, więc tylko przez szpary pomiędzy deszczułkami przedzierało się nieco czerwonawych promieni, które niedostatecznie rozświecały pokój i które wkrótce znikły, albowiem niebo poczęło się chmurzyć. Litka spała głębokim snem. Polaniecki, siadłszy przy niej, począł wpatrywać się w jej uśpioną twarz i w pierwszej chwili serce mu się ścisnęło bolesnem uczuciem. Litka leżała na wznak, z główką zwróconą do sufitu; biedne, cienkie jej rączęta leżały bezwładnie na kołdrze, oczy były zamknięte, a pod oczyma głębokie cienie od rzęs. Jej bladość, która w tym czerwonym półmroku wydawała się jak woskowa, i otwarte usta, a wreszcie głębokie uśpienie, nadawały jej twarzyczce pozór takiego spokoju, jaki mają twarze umarłych. Lecz ruch szlarek, któremi obszyty był jej nocny kaftanik, wskazywał, że dziecko żyje i oddycha. Oddech był nawet spokojny i bardzo regularny. Polaniecki długi czas wpatrywał się w tę chorą twarz i raz jeszcze odczuł z całą siłą to, co odczuwał często, gdy o sobie rozmyślał: mianowicie, że natura stworzyła go na ojca, że obok wybranej kobiety,

dzieci mogłyby być niezmierną miłością jego życia, jego głównym celem i powodem jego istnienia. Zrozumiał to przez litość i miłość, jaką w tej chwili odczuwał dla Litki, która, obca pochodzeniem, była mu w tej chwili tak droga, jak rodzone dziecko. «Gdyby mi ją oddano na własność, — pomyślał — gdyby jej zbrakło matki, wziąłbym ją na zawsze i uważałbym, że mam dla czego żyć».

I czuł również, że gdyby można było wejść w targ ze śmiercią, oddałby jej siebie bez wahania, byle wykupić to «kociątko», nad którem teraz ta śmierć zdawała się unosić, jak drapieżny ptak nad gołębiem. Ogarnęła go tkliwość, jakiej dotychczas nie doświadczał, i ów człowiek, z charakteru raczej szorstki i prędki, gotów był całować ręce i główkę tego dziecka, w najtkliwszej pieszczocie, takiej, na jaką nie każde nawet serce kobiece zdobyćby się mogło.

Tymczasem pociemniało. Po chwili weszła pani Emilia, osłaniając dłonią błękitną lampkę nocną.

— Śpi? — spytała cicho, stawiając lampkę na stoliku za głową Litki.

— Śpi — odpowiedział równie cicho Połaniecki.

Pani Emiliia wpatrywała się w uśpioną.

— Widzi pani, — szepnął dalej Połaniecki —

jak oddycha równo i spokojnie. Jutro będzie zdrowsza i silniejsza.

— Tak! — odpowiedziała z uśmiechem.

— Teraz na mamę kolej. Spać! spać! bo inaczej zacznę zrzędzić okropnie.

Jej oczy śmiały się ciągle do niego z wdzięcznością. W łagodnem, błękitnem świetle lampki nocnej wyglądała jak zjawisko. Twarz miała zupełnie anielską, i Połaniecki mimowoli pomyślał, że i ona, i Litka, wyglądają istotnie jak jakieś zaziemskie postacie, które przez czysty wypadek zabłąkały się na ten świat.

— Tak — odpowiedziała. — Teraz odpocznę. Przyszła Marynia Pławicka i profesor Waskowski. Marynia chce koniecznie zostać.

— To tem lepiej. Ona tak dobrze chodzi koło małej. Dobranoc pani.

— Dobranoc.

Połaniecki został znów sam i począł myśleć o pannie Maryni. Na samą wiadomość, że ją za chwilę zobaczy, nie mógł już myśleć o czem innem, i teraz oto stawiał sobie pytanie: w czem leży ta dziwna tajemnica natury, na mocy której on naprzykład nie pokochał pani Emilii, stanowczo piękniejszej od Maryni, prawdopodobnie lepszej, słodszej, zdolniejszej do kochania — tylko tamtą dziewczynę, którą bez porównania mniej znał i słusznie, lub niesłusznie, mniej czcił?

A jednak przy każdem zbliżeniu się z Marynią budziły się w nim natychmiast te wszystkie porywy, które mężczyzna odczuwać może na widok wybranej kobiety, podczas gdy tak prawdziwie kobieca postać, jak pani Emilii, nie czyniła na nim innego wrażenia, niż gdyby była malowidłem lub rzeźbą... Dlaczego tak jest i dlaczego, im więcej w człowieku kultury, im bardziej nerwy jego stają się subtelne a wrażliwość większa, tem większą czyni różnicę między kobietą a kobietą? Połaniecki nie miał na to innej odpowiedzi, prócz tej, którą dał ów doktor, zakochany w pannie Krasławskiej: «Ja patrzę na nią trzeźwo, tylko nie mogę od niej duszy oderzeć». Było to raczej stwierdzenie zjawiska, niż odpowiedź, na którą zresztą nie miał czasu, gdyż w tejże chwili panna Marynia wsunęła się do pokoju.

Skinęli sobie wzajem głowami, poczem on podniósł fotel i postawił go cicho przy łóżku Litki, dając na migi pannie Maryni znać, żeby siadła. Ona pierwsza poczęła mówić, a raczej szeptać:

— Niech pan pójdzie teraz na herbatę. Profesor Waskowski tam jest.

— A pani Emilia?

— Nie mogła już wysiedzieć. Mówiła, że aż jej samej dziwno, ale musi iść spać.

— Ja wiem, dlaczego. Doktor ją zahipnotyzował i dobrze zrobił. Mała naprawdę lepiej.

Panna Marynia spojrzała mu w oczy, lecz on powtórzył:

— Naprawdę lepiej... jeśli atak nie wróci, a jest nadzieja, że nie wróci.

— Ach! Bogu chwała. Niech pan teraz pójdzie na herbatę.

Lecz on wolał tak oto szeptać do niej zblizka i poufnie, więc odrzekł:

— Dobrze, dobrze, ale później. Umówmy się przytem tak, by i pani mogła wypocząć. Słyszałem, że ojciec pani był chory. Pewno pani i nad nim czuwała.

— Ojciec zdrów już, a ja chcę koniecznie zastąpić Emilkę. Mówiła mi, że jej służba nie spała także całą zeszłą noc, bo stan małej był już przed atakiem niepokojący... Trzeba, żeby teraz ktoś ciągle czuwał, więc jabym chciała tak to urządzić, żebyśmy — ja, pan i Emilka — zastępowali się kolejno.

— Dobrze. Ale dziś już zostanę. Jeśli nie tu, to będę w sąsiednim pokoju na podorędziu. Kiedy pani dowiedziała się o ataku?

— Nie wiedziałam nic. Przyszłam, jak zwyczajnie wieczorem, dowiedzieć się, co słychać.

— A do mnie przybiegł służący pani Emilii w czasie, gdy jadłem obiad. Wyobrazi sobie

pani łatwo, jakem tu leciał; nie byłem pewny, czy ją znajdę jeszcze przy życiu. Co jest przytem dziwnego, to, że w czasie obiadu rozmawialiśmy prawie ciągle o Litce z Bukackim i Waskowskim, zanim przyszedł Maszko z oznajmieniem o swojem małżeństwie.

— Pan Maszko się żeni?

— Tak. Jeszcze nowina się nie rozeszła, ale on sam oznajmił nam ją uroczyście. Żeni się z panną Krasławską, pamięta pani? z tą, która to była wówczas u Bigielów. To dobra partya dla Maszki — panna Krasławska...

Nastała chwila milczenia. Panna Marynia, która, nie kochając Maszki, odrzuciła jego rękę, ale która niejednokrotnie wyrzucała sobie swoje względem niego postępowanie, w przypuszczeniu, iż naraziło go ono na zawód i cierpienia, mogła znaleźć tylko pociechę w wiadomości, że młody adwokat przeniósł cios tak łatwo. Jednakże wiadomość o tem zdziwiła ją na razie i ubodła. Kobiety, gdy z kimś współczują, chcą po pierwsze, by ów ktoś był naprawdę nieszczęśliwy, a powtóre, chcą same łagodzić nieszczęście; gdy się pokaże, że potrafi to uczynić i kto inny, doznają pewnego rozczarowania. Miłość własna panny Maryni została także podwójnie dotknięta. Nie sądziła, by tak łatwo było o niej zapomnieć, a przytem musiała przyznać, że

wyobrażenie jej o Maszce, jako o wyjątkowym człowieku, nie miało żadnej podstawy. Był on dla niej dotychczas rodzajem tuza w partyi przeciw Połanieckiemu — teraz przestał nim być. Czuła się więc, bądź co bądź, nieco upokorzona. Nie przeszkodziło jej to wprawdzie oświadczyć z pewnym akcentem prawdy Połanieckiemu, że jego nowina sprawia jej szczerą i głęboką radość, ale w gruncie rzeczy odczuwała i ku niemu jakby rodzaj urazy za to, że ją powiedział.

Połaniecki od pewnego czasu postępował z nią bardzo powściągliwie i w niczem nie zdradzał się z tem, co się w nim działo. Nie udawał zbytniego chłodu; ponieważ musieli się spotykać, więc w obejściu się z nią zachowywał nawet pewną życzliwą swobodę, ale ona właśnie dlatego sądziła, że przestał ją kochać. I taka jest natura ludzka, że, jakkolwiek dawna uraza ciągle żyła, a nawet zwiększyła się w duszy panienki, jakkolwiek pierwsze rozczarowanie zmieniło się jakby w źródło, sączące coraz nową gorycz, przecie ta myśl, że niechęć jej jest mu już obojętną, drażniła pannę Marynię. Teraz zdawało jej się, że Połaniecki musi jednak tryumfować nad jej pomyłką co do Maszki i nad tem, że, bądź co bądź, ona, która przed niedawnym czasem miała wybór między Maszką a nim, obecnie go nie ma,

i że zostaje w pewnem opuszczeniu, trochę upokarzającem.

On zaś daleki był od takich myśli. Rad był wprawdzie, że Marynia pozna, iż, wywyższając nad niego Maszkę, myliła się gruntownie, ale ani mu się śniło cieszyć, albo tryumfować z powodu jej osamotnienia, bo w każdej chwili więcej niż kiedykolwiek gotów był otworzyć jej ramiona, przycisnąć ją do piersi i kochać. Pracował on wprawdzie nad złamaniem w sobie uczucia wytrwale i nawet z zawziętością, ale czynił to wyłącznie dlatego, że nie widział przed sobą żadnej nadziei, a poczytywał za rzecz uchybiającą swojej godności męskiej wkładać wszystkie siły duszy i serca w uczucie nieodwzajemnione. Chciał wedle własnego wyrażenia «nie dać się», i nie dawał się, jak umiał, ale pojmował to doskonale, że taka walka nuży, wyczerpuje, i że, gdy nawet kończy się zwycięstwem, przynosi, zamiast szczęścia, pustkę. A oprócz tego, daleko mu było do zwycięstwa. Po wielkich wysileniach doszedł wreszcie do tego tylko, że jego uczucie pomieszało się z goryczą. Ferment taki rozkłada wprawdzie miłość, z tej prostej przyczyny, że ją zatruwa, i z czasem mógł ją rozłożyć w sercu Połanieckiego. Ale na razie, co za znikomy rezultat! Teraz oto, siedząc nieopodal Maryni i patrząc na jej twarz i głowę,

oświeconą bladem światłem lampki, mówił sobie w duszy: «Gdyby tylko chciała!» Myśl ta złościła go, ale, chcąc być z sobą szczery, musiał przyznać, że gdyby tylko chciała, pochyliłby się do jej nóg z największą gotowością. Więc co za znikomy rezultat, a zarazem co za bezdroże! Jednocześnie bowiem czuł, iż nieporozumienie między nimi tak już wyrosło, iż gdyby Marynia nawet chciała powrotu takich chwil, jakie spędzili w Krzemieniu, to miłość własna i obawa, by nie stanąć względem siebie samej w sprzeczności, zamknęłaby jej usta. Stosunek ich tak się już powikłał, że prędzej jeszcze mogliby pokochać się, niż porozumieć.

Po krótkiej rozmowie zapadła między nimi cisza, przerywana tylko oddechem chorego dziecka i lekkim a posępnym dźwiękiem szyb, w które zacinał drobny deszcz. Na dworze uczyniła się noc wilgotna jesienna, niosąca z sobą ucisk, smutek, pesymizm i zniechęcenie. Równie smutno wyglądał ów pokój, w którego mrocznych kątach zdawała się czaić śmierć. Godzina płynęła za godziną, coraz wolniej. Połanieckiego ogarnęły nagle złe przeczucia. Spojrzał na Litkę, i naraz wydało mu się szaleństwem przypuszczenie, że ona może wyżyć. Próżne czuwanie! próżne nadzieje! próżne złudzenia! To dziecko musi umrzeć! musi, tembardziej, im jest droższe,

słodsze, im bardziej kochane! Za nią pójdzie pani Emilia — i potem będzie pustka prawdziwie beznadziejna! Co za życie! Oto on, Połaniecki, ma te dwie jedyne istoty na świecie, które go kochają, dla których jest czemś, więc oczywiście musi je stracić! Przy nich byłoby się o coś zahaczyć w życiu, bez nich — zostaje jedna nicość i jakaś przyszłość ślepa, głucha, bezrozumna, z twarzą idyoty...

Najenergiczniejszy człowiek potrzebuje, by go ktoś kochał. Inaczej czuje w sobie śmierć, i jego energia zwraca się przeciw życiu. Taka chwila przyszła na Połanieckiego. «Nie wiem ostatecznie, dlaczegobym nie miał sobie w łeb palnąć, — pomyślał — nie z rozpaczy za niemi, ale z powodu nicości bez nich. Jeśli życie ma być bezsensem, niema dobrej racyi, by na bezsens pozwolić — chyba przez ciekawość, do jakiego stopnia dojść może».

Lecz ta myśl nie zjawiła się w nim, jako zamiar. Było to raczej targnięcie za łańcuch nieszczęść człowieka, który się żżyma: chwila gniewu, szukającego przeciw komuby się zwrócić. W Połanieckim zwrócił się on nagle na Marynię. Sam on nie wiedział, dlaczego wydało mu się nagle, że wszystko, co się dzieje złego, dzieje się z jej powodu, że ona wniosła w ich kółko niechęć, której nie było, zmartwienie, którego

nie było, że rzuciła jakby jakiś kamień w ich gładką wodę, i teraz fale, rozszerzając się coraz bardziej, ogarniają nietylko jego, ale i panią Emilię i Litkę. Jako człowiek, rządzący się rozsądkiem, nie nerwami, rozumiał całą czczość tego rodzaju zarzutów, a jednak nie mógł oprzeć się wspomnieniu, że nim Marynia przyjechała, było wszystko lepiej, że ową przeszłość mógł uważać jako szczęśliwy okres życia. Kochał oto wówczas tylko Litkę, takiem jasnem, ojcowskiem uczuciem, które nie przyniosło i nie mogło przynieść jednej chwili goryczy. Kto wie przytem, czy z czasem nie byłby potrafił pokochać pani Emilii! Ona wprawdzie nie miała dla niego innych uczuć, tylko przyjazne, ale może jedynie dlatego, że innych nie pragnął. Nieraz szlachetne kobiety wyrzekają się uczuć, wychodzących poza granicę przyjaźni, by nie utrudniać i nie plątać życia komuś, kto mógłby być drogim, ale nie chce. Wówczas w głębi ich duszy leży cichy, ukryty smutek, znajdują jednak słodycz i pociechę w tkliwości, na jaką przyjaźń pozwala.

Połaniecki, poznawszy Marynię, oddał jej zaraz najlepszą część uczuć. Po co? dlaczego? Tylko na zgryzotę sobie. Teraz, na domiar nieszczęścia, ta Litka, która była jedynym promykiem jego życia, umierała lub mogła umrzeć

każdej chwili. Połaniecki znów wpatrzył się w nią i w duszy mówił jej:

— Zostań choć ty, dziecinko! ty nie wiesz, jakaś potrzebna i mnie i matce. Niech Bóg broni, co za życie będzie bez ciebie, drogie stworzenie!

Nagle spostrzegł, że oczy dziewczynki patrzą na niego.

Przez chwilę myślał, że się łudzi, i nie śmiał się poruszyć, lecz mała poczęła się uśmiechać i wreszcie wyszeptała:

— Pan Stach...

— To ja, Lituś! Jak się czujesz?

— Dobrze, a gdzie mama?

— Zaraz przyjdzie. Wojowaliśmy z nią ogromnie, żeby poszła spać, i ledwieśmy ją namówili.

Litka zwróciła głowę i, spostrzegłszy pannę Marynię, rzekła:

— A, to ciocia Marynia?

Od pewnego czasu mała mówiła jej: ciociu.

Panna Marynia wstała i, wziąwszy flaszeczkę, stojącą na szafce nocnej, poczęła nalewać pod światło lampki krople na łyżeczkę, następnie podała je Litce, a gdy dziewczynka skończyła pić, przycisnęła usta do jej czoła.

Nastała chwila milczenia, poczem dziecko rzekło, jakby samo do siebie:

— Nie trzeba mamy budzić.

— Nie, nikt nie będzie budził — odpowiedział Połaniecki. — Wszystko tak będzie, jak Lituś chce.

I począł gładzić jej rączkę, leżącą na kołdrze.

Ona zaś patrzyła na niego, powtarzając, jak miała zwyczaj:

— Pan Stach... pan Stach...

Przez chwilę zdawało się, że uśnie, ale dziecko widocznie rozmyślało o czemś z wielkiem wysileniem, albowiem brwi jego podnosiły się do góry; wreszcie, otworzywszy oczy, jęła spoglądać kolejno to na Połanieckiego, to na pannę Marynię.

W pokoju słychać było tylko dźwięk deszczu o szyby.

— Co ci jest, dziecinko? — spytała panna Marynia.

Ona zaś, złożywszy ręce, wyszeptała ledwie dosłyszanym głosem:

— Bo ja mam wielką, wielką prośbę do cioci Maryni, ale... nie śmiem powiedzieć.

— Mów, moje kochanie! Wszystko zrobię, co zechcesz...

Wówczas dziewczynka, chwyciwszy jej dłoń i przycisnąwszy do niej usta, wyszeptała:

— Żeby ciocia Marynia kochała pana Stacha.

W ciszy, jaka nastała po tych słowach, słychać było tylko przyśpieszony nieco oddech dziewczynki; wreszcie ozwał się spokojny głos panny Maryni:

— Dobrze, kochanie.

Połanieckiego schwycił nagle za gardło spazm płaczu. Wszystko, nie wyłączając panny Maryni, znikło mu z oczu wobec tego dziecka, które w takiej chwili, chore, bezsilne i wobec śmierci, myślało tylko o nim.

Litka zaś pytała dalej:

— I ciocia wyjdzie za pana Stacha?

W świetle błękitnej lampki twarz panny Maryni wyglądała bardzo blado, usta jej drżały, ale odrzekła bez wahania:

— Tak jest, Lituś.

Dziewczynka podniosła po raz wtóry do ust jej rękę. Główka jej opadła znów na poduszkę, i czas jakiś leżała z zamkniętemi powiekami, po chwili jednak dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

Nastała teraz jeszcze dłuższa cisza. Deszcz bił w szyby. Połaniecki i panna Marynia siedzieli bez ruchu, bez spojrzenia na siebie, jakby posnęli. Czuli tylko oboje, że losy ich przeważyły się tej nocy, ale byli jakby ogłuszeni tem, co zaszło. W chaosie myśli i uczuć żadne

z nich nie umiało ni uświadomić, ni określić, co się w nim dzieje.

I w tem milczeniu, w tem instynktownem milczeniu, by wypadkiem nie spojrzeć sobie w oczy, godzina poczęła płynąć za godziną. Zegary wybiły północ, potem pierwszą; koło drugiej pani Emilia wsunęła się, jak cień, do pokoju.

— Śpi? — spytała.

— Nie, mamusiu — odpowiedziała Litka.

— Dobrze ci jest?

— Dobrze, mamusiu.

I gdy pani Emilia usiadła przy niej na łóżku, mała objęła rączkami jej szyję i, tuląc swoją płową główkę do jej piersi, rzekła:

— Ja teraz, mamusiu, wiem, że jak chore dziecko o co prosi, to mu nigdy nie odmawiają.

I czas jakiś przytulała się jeszcze do matki w milczeniu, poczem, przeciągając każde słowo, jak czynią dzieci senne, lub bardzo osłabione, rzekła:

— Pan Stach nie będzie więcej smutny, i powiem mamusi dlaczego...

Lecz tu główka jej poczęła ciążyć na piersiach matki, i pani Emiliia uczuła zimny pot, występujący zarówno na ręce dziecka, jak na jego skronie.

— Lituś! — zawołała cichym, przerażonym głosem.

A dziewczynka poczęła mówić:

— Tak mi dziwnie! tak słabo!...

Myśli jej poczęły się widocznie mącić, gdyż po chwili mówiła dalej:

— O! morze płynie! Takie duże morze, i my wszyscy po niem płyniemy! Mamo, mamo!...

I przyszedł znowu atak, straszny, niemiłosierny. Ciało dziewczynki wyprężyło się w konwulsyi, a źrenice jej uciekły w tył głowy. Nie było się już co łudzić: nadchodziła śmierć, czuć ją było w bladem świetle lampki i w mrocznych kątach pokoju, w dźwięku szyb, bitych deszczem, i w szumie wiatru, pełnym przerażających głosów i wołań.

Połaniecki zerwał się i pobiegł po doktora; po kwadransie wrócili obaj, niepewni wobec zamkniętych drzwi pokoju, czy dziecko żyje jeszcze, i znikli w nich natychmiast, naprzód Połaniecki, potem doktor, powtarzający od chwili, gdy go wyciągnięto z łóżka, jeden frazes:

— Chyba wzruszenie, czy przestrach?

Kilkoro ludzi ze służby o twarzach sennych i przerażonych zgromadziło się pode drzwiami, nasłuchując — i w całem mieszkaniu nastała cisza, długa, ciężka, jak ołów.

Przerwała ją wreszcie Marynia, która pierwsza wyszła z zamkniętego pokoju, z twarzą bladą, jak płótno, i trzęsącym się głosem rzekła śpiesznie:

— Wody dla pani! Panienka nie żyje!

KONIEC TOMU SZESNASTEGO.